

Pierwsze rozdziały książki

Michał Bałucki

W żydowskich rękach

I

Kochani sąsiedzi

Szary zmrok rozmazał w niewyraźne kształty kontury wioski, do której para koni ciągnęła po piaszczystej drodze bryczkę... Na bryczce siedziało dwóch mężczyzn. Jeden już mocno szpakowaty, wychudły i ruchliwy; drugiego profil ostro i wyraźnie rysował się na jasnym tle zachodniego nieba i pokazywał rysy regularne. Cera tylko, nie wiadomo czy wskutek zmierzchu, czy z natury wydawała się ciemną, przez co białka oczu i zęby, które czasem odświeżał w sarkastycznym uśmiechu, nabierały rażącej białości. Słuchał on w milczeniu swego starszego towarzysza, który chciał go rozgadać i bawił, jak mógł, opowiadając o wszystkim, co mu na oczy lub na myśl przyszło. Młody człowiek był widocznie obcym w tych stronach, a szpakowaty jegomość uważał za obowiązek dawać mu objaśnienia o ludziach, okolicy i ciekawych wypadkach.

Wtem naraz przestał mówić i wpatrzył się w jeden punkt nieba za lasem, który coraz, coraz się więcej zarumieniał.

— Grzesiu! — odezwał się wreszcie do furmana — co to tam tak się zaczerwieniło za lasem. Czyby to księżyc?

— Ej, nie widzi mi się, proszę pana. To prędzej gdzieś się pali...

— Pali się, powiadasz? A gdzie być może?

— Ta to tak wygląda jakby w Lipczynach. Płomień tuż za lasem...

— W Lipczynach powiadasz?

— Tak mi się widzi...

— Prawda, akurat w tej stronie lipczyński dwór jakby strzelił. Biedny Radoszewski — mówił niby do siebie — jeszcze mu tego brakowało. Trzeba by się jednak przekonać. Czyśmy minęli już leśniczówkę?

— Ano zaraz będzie...

— To skręć na cesarkę i wio do Lipczyn, co koń wyskoczy.

Furman śmignął batem w powietrzu; potem po końskich grzbietach, raz i drugi wołaniem zachęcał je do pośpiechu, ale nie na wiele się to przydało. Leniwe szkapy szarpnęły zrazu i przyspieszyły biegu, ale wnet pomęczyły się i zwolniły. Dopiero gdy się wygrzebały z piasku na bity gościniec, ruszyły rażniej w górę ku lasowi. Tymczasem szpakowaty jegomość zwrócił się do młodego człowieka i zapytał:

— Pan nie znasz jeszcze Radoszewskiego?

— Ani jego, ani nikogo prawie, proszę pana...

— Poczciwy człowiek z kośćcami, choć do rany przyłóż. Tylko biedak nie najlepiej stoi w interesach. Chłopi go kradną, Żydzi oszukują i wyzyskują, a co chłop i Żyd nie weźmie, to sam rozda i rozczęstuje, bo taka to już natura. Spod serca wyjmie i da. Dlatego też sam nic nie ma. Długów po uszy. I trzeba mu było jeszcze tego ognia... To go do reszty dorznąć może...

— Jeżeli asekurowany...

— On asekurowany? Nie namówiłbyś go pan do tego.

— A to czemu?

— Ot zwyczajnie, człowiek starej daty, ma swoje uprzedzenia i przesady. Uważa ogień za dopust Boży. Opatrzność boska, mówi, to najlepsza asekuracja, a potem życzliwość sąsiedzka. Przy takiej asekuracji szlachcic może spać bezpiecznie.

— A toć to przedpotopowy człowiek. Nie przypuszczałem, że tacy ludzie istnieją jeszcze.

Trzeba, panie, trzeba wiedzieć, kto to Radoszewski. Gościnny, uczynny do przesady, na usługi sąsiedzkie oddałby grosz ostatni. Toteż ma ogromny mir w okolicy. Żaden sąd polubowny bez niego się nie obejdzie, a kto wie, czy go i marszałkiem nie obiorą, bo choć głowa nie tęgą, ale serce złote. Nazywamy go tu powszechnie naszym kochanym Radosiem, a każdy uważałby sobie za grzech przejechać koło jego domu i nie wstąpić. Toteż dwór jego istny dom zajezdny... Ciągłe w nim goście. Jedni przyjeżdżają, drudzy wyjeżdżają. Już to można powiedzieć, że ma w nas wszystkich przyjaciół. Jestem pewny, że tam teraz z połowa sąsiedztwa zjechała na ratunek. Dość każdemu wiedzieć, że w Lipczynach nieszczęście, aby porzucił wszystko i biegł do poczciwego Radosia, jak my oto teraz.

— Jeżeli wszyscy jak my przyjadą tylko z gołymi rękami, to nie na wiele przyda się panu Radoszewskiemu ta pomoc sąsiedzka.

Szlachcic spojrzał spode łba na mówiącego; nie spodobała mu się taka uszczypliwa uwaga młodzika, który siedział na jego wózku i znał go ledwie od paru dni. Miał ochotę palnąć mu kazanie za taką śmiałość, ale równocześnie przypomniał sobie, że jest właścicielem dwóch córek na wydaniu. Każdy młody człowiek mający jakieś takie kwalifikacje na męża był dla niego

bardzo ważną osobą, której obrażać i odstręczać nie należało. Dlatego uważał za stosowne połączyć urazę i odpowiedział:

— A prawda, prawda. Trzeba było wstąpić do domu i zabrać choćby parę wiader. Ale to byłoby nas długo zabawiło, a tak będziemy jedni z pierwszych. Obecność życzliwych osób w nieszczęściu, to także pociecha niemała.

Młody człowiek nic na to nie odpowiedział. Milczenie jego można było różnie tłumaczyć. Pan Jacenty wytłumaczył je sobie jak najlepiej znowu przez wzgląd na Pelcię i Balbinkę. Dla biednego bowiem szlachcica siedzącego dzierżawą na lichej wioszczynie, dwie córki na wydaniu z przewróconymi główkami, były zbytkiem większym może niż dla niejednego wyścigowe angiezy. Bo trzeba wiedzieć, że Pelcia i Balbinka, kandydatki do stanu małżeńskiego, szanując swoją godność i rasę poprawioną przez matkę baronową, uważały za ublizenie pomagać ojcu w ciągnięciu jarzma gospodarskich zajęć — i cała ich czynność ograniczała się na ciągłych przygotowaniach do tych wyścigów, których ostateczną metą miał być ołtarz i młodzieniec, choćby niemłody, mogący oprócz miłości i wierności małżeńskiej ślubować żonie kocz z czwórka, stroje z Paryża i podróż za granicę. Gdy jednak pewna liczba lat minęła i zabrała ze sobą z twarzy panieńskiej puszek pierwszej młodości, panny Jacentówny znacznie obniżyły skalę swoich wymagań i każdy młody człowiek, nawet z bardzo skromnymi kwalifikacjami, wydawał się dla nich pożądaną partią — tym bardziej ów młody człowiek, który był typem męskiej piękności, z energią, ogniem i tą pewnością, jaką nadaje przebijanie się przez świat o własnych siłach. Panna Pelagia, wielka amatorka i znawczyni koni, utrzymywała, że zrobił na niej wrażenie ślicznego arabczyka o rozdętych nozdrzach i pełnego ognia, a zaś sentymentalna Balbinka porównywała jego oczy do przepaścistej nocy, pełnej niezbadanych tajemnic.

Wprawdzie młody ów przedstawiciel nocy i arabczyk, nie miał jeszcze odpowiednich kwalifikacji na wyprowadzenie której z córek pana Jacentego z długoletniej niewoli staropanieństwa, był bowiem dopiero świeżo zainstalowanym pomocnikiem przy inżynierze wysłanym przez rząd do nadzorowania budowy kolei mającej przechodzić przez te okolice; ale pan Jacenty nie był wybrednym, wierzył, że młody człowiek, ma przyszłość przed sobą i że przy pracy daleko zajdzie. Na tę więc daleką drogę umyślił obarczyć go którąkolwiek ze swoich dwóch córek. Wybór zostawił on mu nieograniczony. Dotąd sprawa była nierozstrzygnięta. W czasie czterdziestoosmiodzinowego pobytu pod dachem pana Jacentego, gdzie mieścił się tymczasowo wraz z inżynierem zanim barak będzie wykończony, młody człowiek, który przedstawiał się jako Teodor Kowalski, ukończony słuchacz politechniki wiedeńskiej — nie objawiał jeszcze wyraźnej skłonności do żadnej z panien, lubo każdej z nich inaczej się zdawało. Pelcia była zdania, że ognistymi spojrzeniami ujarzmiła już dla siebie dzikiego araba, Balbina utrzymywała, że odnalazła klucz do ciemnej zagadki tej tajemniczej duszy młodzieńca. Papa zaś, lubo nauczony częstym doświadczeniem, nie dowierzał ani domysłom Pelci, ani przecuciom Balbinki; miał jednak nadzieję, że młody człowiek skazany na dłuższy pobyt w okolicy nie obfitującej w panny, a tym samym na dłuższe obcowanie z jego córkami, zdecyduje się choćby z nudów na małżeństwo. Toż samo myślał o inżynierze, dopóki się nie dowiedział, że ten był już żonaty i dietny.

Przez troskliwość o córki pan Jacenty strzegł młodego technika jak oka w głowie, bacząc przede wszystkim na to, aby go inny jakiś tatko nie zarekwirował do swego domu, również w matrymonialnych celach. Rozciągnął więc nad nim staranną opiekę, towarzyszył mu w pole na

wymiary i do miasteczka, gdzie było główne biuro inżynierii. Właśnie stamtąd wracali do domu, gdzie ich powrotu niecierpliwie oczekiwały dwa serca, dwie pary panińskich oczu, naładowane elektryzującymi spojrzeniami, gdy przypadek zwrócił ich z drogi i pociągnął ku Lipczynom.

Po kwadransie dobili się przez piaski do lasu. Las ten należał do Lipczyn. Był to bór wspaniały, pełen starych świerków i dębów ogromnych rozmiarów, gęsto podszytych młodymi drzewkami. Tu i ówdzie leżały drzewa złamane burzą albo spróchniałe od starości. Znać było, że siekiery nie znał ten las. Młody człowiek zwrócił na to uwagę i wyraził zdziwienie swoje.

— Wnosząc z tego lasu — rzekł — nie można by pana Radoszewskiego posądzić o ruinę. Las to jak mało gdzie zdarzyło mi się widzieć. To fenomen w naszych czasach... Zwykle u nas goliznę obywatelską znać najprzód po wytrzebionych borach, gdy tymczasem tutaj ochronę posunięto bodaj do przesady.

— Toteż to jedno, co jeszcze nadaje wartość Lipczynom to ten las. Żydzi od dawna już ostrzą sobie zęby na niego; parę razy trafiało się Radoszewskiemu sprzedać go bardzo korzystnie. Prusacy zeszłego roku dawali mu tyle, że mógłby był tym spłacić przynajmniej czwartą część długów ciążących na majątku. Ale stary uparł się i nie chce.

— I z jakiegoż powodu?

— Ot, także dziwactwo. Ma pod tym względem pewne skrupuły. Las uważa za coś świętego i stawia go na równi ze starymi tradycjami, dla których ma religijne poszanowanie... „Stary las, mówi, to tyle znaczy co stary herb, obu wartość rośnie z latami”.

— Tak, dopóki oba się nie przeżyją — rzekł technik i twarz jego skrzywiła się przykrym wyrazem niezadowolenia. — Teraz nie dziwię się — mówił on dalej — że Galicja tak zacofana w przemyśle, że skarby jej marnieją, jeżeli są jeszcze tacy Radoszewscy. I mają za złe, nam młodym, że chcemy przejść do porządku nad tą generacją zacofaną, która wegetuje tylko, ale nie ma już racji bytu. Są to kamienie, które zawalają drogę prądowi postępu — i usunąć je trzeba.

Pan Jacenty znowu poruszył się niespokojnie na bryczce. Pomimo że nie podzielał wszystkich zasad Radoszewskiego, przykro mu się zrobiło, gdy usłyszał z ust młodego człowieka wyrok wydany z takim pogardliwym lekceważeniem. I on po trochu należał już do tych kamieni, które inżynier kopnięciem nogi chciał odrzucić na bok. Chciał coś w obronie tych kamieni powiedzieć, ale czy uważał, żeby się to na wiele nie zdało, czy znowu córki przyszły mu na myśl — nic nie powiedział. Tak milcząc, ujechali część lasu.

Las się przerzedzał i pomiędzy ciemnymi ścianami, jakie drzewa tworzyły z obu stron drogi, widać było szeroki płat nieba oświeconego łuną, a dołem złociste płomienie pożaru.

— To nie w Lipczynach się pali — odezwał się furman.

— A gdzie? — spytał pan Jacenty.

— To w Zagajowie panie.

— W Zagajowie. Phe! to nie warto było tak gnać koniska — rzekł, machnąwszy ręką. Stanął na bryczce, trzymając się dla równowagi ramienia furmana i patrzył przed siebie, wytrzeszczając cebulaste oczy.

— Tak — mówił — to w Zagajowie. Prawda. Masz rację. Cała fabryka w płomieniach. No, chwała Bogu, że to nie Radosia spotkało takie nieszczęście. O Zagajów nie ma się co kłopotać... Nawracaj...

Furman chciał już skręcić, gdy Jacenty zatrzymał go.

— Czekaj no — rzekł — coś w Lipczynach rzęsiście oświecone okna, muszą być goście, może jaka feta. Kiedyśmy już tak blisko, to trzeba wstąpić.

Usiadł na bryczce i zwracając się do swego towarzysza powiedział:

— Poznasz pan przy sposobności pocziwego Radosia.

— Może to nie właściwa pora, nie jestem ubrany.

— Ale furda. On na takie bagatele nie uważa. Będzie ci rad — zobaczysz.

Młody człowiek nie przeczył i w milczeniu zgodził się na propozycję swego gospodarza. Po chwili zaczął go pytać.

— Wytlumacz mi pan jednakże, dlaczego pożar w Zagajowie jest dla pana tak obojętną rzeczą. Wszak nieszczęście zawsze jest nieszczęściem, czy w Lipczynach, czy w Zagajowie, czy gdziekolwiek się stanie, zwłaszcza że to zawsze pańskie sąsiedztwo.

— Ba, ba, to całkiem inna rzecz — zawołał pan Jacenty, wywijając z ferworem ręką w powietrzu. — Lipczyny i Zagajów to niebo i ziemia, ogień i woda.

Tu mieszka człowiek powszechnie szanowany, dla którego każdy dałby życie z ochotą, a w Zagajowie siedzi samolub, arystokrata. Gdyby ten człowiek chciał do nieba prowadzić, jeszcze by nikt za nim nie poszedł.

— Cóż to za jeden taki?

— Niejaki Czujko. Edward Czujko.

— A cóż on tak złego zrobił?

— To by było jeszcze najmniejsza. I to by mu jeszcze można darować, że tylko za groszem jak Żyd się ugania, bo dziś dużo panów zeszło na to. Ale są tam inne brudy i grzeszki, o których ludzie przebąkują. Jego ożenienie, przyjsie do majątku to nieczyste sprawy. Mówią, że zbałamucił bratu narzeczoną, potem go rozpił, wy kierował na dziada, a sam majątek zagarnął.

— Czytałem w którejś gazecie, że jakiś Czujko ma mieć wzorowe gospodarstwo. Czyby to był ten?...

— A on ci, on. Dostał nawet medal na wystawie rolniczej za to swoje gospodarstwo, ale cóż z tego, kiedy go ten honor diabelnie dużo kosztuje, bo nakładów potrzeba dużo, a zysku nie ma żadnego. Tak samo i z fabrykami mu idzie, bo trzeba panu wiedzieć, że choruje na wielkiego przemysłowca. Powiadają, że z Anglii przywiózł sobie tę chorobę. Postawił młyn amerykański i stracił na nim. Chciał założyć cukrownię na akcje, ale nie znalazł wspólników. W końcu namówił jakiegoś kapitalistę z miasta, żeby razem założyć fabrykę maszyn i narzędzi rolniczych — ot właśnie tę, co się pali teraz. Niewiele dałbym za to, że to on sam podpalił. Po takim człowieku wszystkiego spodziewać się można.

— Jakież miałby cel palić samego siebie?

— Żeby choć w części odbić straty, bo fabryka nie szła. U nas tu w okolicy gospodarstwo idzie po dawnemu, w maszyny nie wierzą, a jeżeli jaki taki potrzebował, to wołał sprowadzić przez Żydów z zagranicy, niż od niego kupić.

— Czy tak zły miał wyrób!...

— Podobno nie.

— Więc pewno drogi?

— I to nie; ale widzi pan, jak kto nie ma miru między ludźmi, to choćby im chleb z miodem i masłem dawał, to i tak nie przynęci do siebie.

— W interesach sympatia i antypatia powinny być, zdaje mi się, obojętną rzeczą.

— Tak się panu zdaje. Do wszystkiego potrzeba szczęścia i przyjaźni ludzkiej, a jemu zbywa na jednym i na drugim. Do czego się weźmie, to mu nie idzie, a bierze się do wszystkiego, bo to projektowicz jak mało. U niego pomysły jak róże miesięczne, co miesiąc co nowego.

— Powiadasz pan, że i na amerykańskim młynie stracił?

— A jakże — stracił z kretelem...

— To mnie dziwi, bo zdaje mi się, że okolica nie obfituje w młyny.

— Tak, ale o kilka mil stąd Żydzi postavili drugi, a że był bliżej traktu głównego i do tego Żydzi dali znacznie niższe ceny, więc go podcięli. Z Żydami panie to nie tak łatwa sprawa. To naród stworzony do handlu i spekulacji. Ci umieją robić interesy. Gdzie szlachcicowi mierzyć się z nimi? Ale bo też Żyd nie trzyma służby, powozów, nie mieszka w salonach, zje byle co, prześpi się byle gdzie, czasem i nie dośpi i nie doje, gdy tego interes wymaga; toteż kontentuje się mniejszym zyskiem i tam, gdzie szlachcic stracić musi, Żyd wyjdzie cało i z zyskiem. A jemu się chciało rywalizować z nimi. Mrzonki panie, mrzonki... Czy wiesz pan, co on zrobił? Poodbierał

u siebie Żydom wszystkie arendy, propinacje i obsadził katolikami. No i nie głupota to, proszę ja pana kochanego? I cóż pytam się zyskał na tym?

Karczmy jego przepadły, a Żydzi teraz bij zabij na niego. Kto wie, czy byłoby im przyszło na myśl stawiać młyn amerykański, gdyby nie to, że chcieli mu dokuczyć i poszli na udry. To naród równie mściwy, jak przemysłny, trzyma się za ręce i dlatego wiele może. Za jednego wszyscy się ujmą.

— A u nas brak solidarności i dlatego nic dziwnego, że taki Czujko upada ze swoimi projektami.

— On nas nie zna — to i my go znać nie chcemy.

— Można go było nie znać jako osobę prywatną, ale jeżeli występował w zamiarze podniesienia przemysłu krajowego i handlu, to popierać go w tym należało. Żydzi inaczej zagarną wszystko; przejdą suchą nogą do ziemi obiecanej przez to morze, które nas zaleje. Pod tym względem tedy jestem całkiem po stronie pana Czujki.

— Więc pan myślisz, że jemu idzie o nas, o dobro kraju? Bajki panie. Jemu idzie o własną kieszeń i nic więcej.

— W tym nie widzę nic złego, że szuka zysku. Interes, to najsilniejszy czynnik w dziejach przemysłu. Poświęcenia niewielką na tym polu odegrały rolę. Ale jeżeli interes pojedynczego człowieka przyczynia się do podniesienia bogactwa krajowego — to zdaniem moim, obowiązkiem jest każdego, popierać takiego człowieka.

— To znaczy, że powinniśmy pracować na niego. Jeszcze tego by brakowało.

— Nie zrozumiałeś mnie pan. Idzie tylko o to, abyście tam, gdzie macie do wyboru między takim panem Czujką a Żydami, nie dawali tym ostatnim pierwszeństwa. Czyż by to mogło nazywać się ofiarą ze strony którego z panów, gdyby mając kupować na przykład mąkę lub sprowadzić maszynę jakąś, nabył ją od Czujki zamiast od Żydów.

— Ba, to nie wszystko jedno, bo Żyd i skredytuje i mogę mu jeszcze nawymyślać, co mi się podoba, a panu Czujce kłaniać się potrzeba i czekać w przedpokoju razem z lokajami, aż mu przyjdzie ochota wyjść i pogadać z człowiekiem.

— Więc taki dumny?

— Ba, ba, jeszcze jak. To dość spojrzeć na niego, żeby to widzieć. Mina jak u lorda, ręce ciągle w kieszeniach jak przyszyte, nos do góry niby dubeltówka wymierzona na gwiazdy, a nogami tak z pańska przebiera, jakby po klawiszach chodził. Jednym słowem człowiek nieznośny, a przy tym...

Nie dokończył, bo już dojechali do dworu, a wrzawa, jaka tam panowała, zagłuszyła jego słowa.

Na dziedzińcu w Lipczynach istny obóz. Mnóstwo koni, bryczek, ludzi krzątających się roje. Można było wszystko dokładnie widzieć, bo na dziedzińcu widno było jak we dnie od świateł,

co szerokimi smugami padały z jasno oświetlonych okien i od blasku pożaru, który oświecał szeroko okolicę. Stajnie i wozownie nie mogły pomieścić koni przybyłych gości, umieszczono więc je na dziedzińcu. Służba domowa roznosiła obrok i sypała go obficie koniom to w opałki, to w bryczki, a dwie służące z czeladnej kuchni stawiały dla furmanów garnki i misy z wieczerzą pod spichlerzem na stole naprędce z tarcic złożonym. Karbowy tymczasem częstował ich okowitą, bo Radoszewski zalecał zawsze służbie nie żałować traktamentu dla przybyłych w gościnę. Więc też na dziedzińcu było wesoło, gwarno, krzykliwe, zwierzęta i ludzie mieli w bród wszystkiego. Rozgościło się to wygodnie, jakby tu wiekować miało. Gdzie kto chciał, to siadł — gdzie chciał, postawił bryczkę i umieścił konie. Porządku ani ładu nie było żadnego — toteż nasi podróżni przybywszy ostatni, nie mogli już wjechać w dziedziniec — tak wszędzie było pełno. Musieli więc wysiąść z bryczki i piechotą przeciskać się przez ten tabor koni, wozów, bryczek ku dworowi.

— A co — nie mówiłem? — odezwał się pan Jacenty do swego towarzysza, idąc naprzód i torując mu drogę — nie mówiłem, że znajdziemy tu dużo ludu? To się bardzo często zdarza w Lipczynach. Istny dom zajezdny.

— W którym się jednak nic nie płaci — dodał technik z uśmiechem.

— Za taką gościnność płaci się sercem — rzekł Jacenty sentencjonalnie.

— Z nieograniczonym terminem wypłaty.

Jacenty nie słyszał już tego dodatku, bo stanęli właśnie koło otwartego okna, z którego wraz ze strugą światła i gorącą płynęła chaotyczna wrzawa, z której od czasu do czasu wyskakiwały głośniejsze wykrzyki radości, toasty, homeryczne śmiechy lub brzęk tłukącego się szkła. Zabawa była w całej pełni. Wino dodawało rezonu i humoru...

— A co — prawda — wesoło i ochoczo? — spytał Jacenty, zatrzymując się dla swego towarzysza, który zabłąkał się między dyszlami i pozostał nieco w tyle. — U Radoszewskiego zawsze tak. Stary ma dar zabawiania gości i animowania wesołości. Zobaczysz, jak cię przyjmie serdecznie. Za pół godziny będziesz się czuł jak u siebie. Tu się pan będziesz mógł przypatrzeć staropolskiej gościnności.

To rzekłszy, wziął technika pod rękę i wprowadził po paru schodach do obszernej sieni, gdzie stał duży stół przygotowany do wieczerzy. Drzwi od sieni były na rozcież otwarte do świetlicy (tak Radoszewski nazywał swój salon) i zebrani tam goście wnet spostrzegli przybyłych.

— Jacuś, Jacenty, dawaj go tu!... — zawołało kilka głosów dobrze już rozmoczonych w winie; połowa gości wytoczyła się do sieni na niepewnych nogach z kieliszkami w ręku. Okrążono przybyłych i zarzucono ich pytaniami.

— A ty skąd się tu wzięłeś Jacusiu, hę?

— Myślałem, że nasz poczciwy Radosio się pali — tak siadam i wio co prędzej.

Wesoły okrzyk radości buchnął z kilkunastu piersi potężnych.

— A to jakbyśmy się zmówili, bo i my tak samo.

— I my, i my — powtarzali inni z tyłu.

— Słuchaj no Radosiu — to i Jacek był pewny, że się u ciebie pali.

Słowa te zwrócone były do małego, tłuściutkiego człowieczka, który w towarzystwie kilku gości spieszył z dalszych pokoi na powitanie przybyłych. Był to gospodarz domu. Figurka na pozór niepozorna, nie uderzająca ani wspaniałością postawy, ani typowymi rysami. Krępy, przysadkowaty, z twarzą zarumienioną i świecąca się od potu, kulcowatym nosem, strzyżonymi wąsikami, z oczami osadzonymi na wierzchu jak porcelanowe gałki i łysiną wyglądał raczej na oberżystę niż na obywatela. Kto wie, czy nie tej pospolitości winien był także po części popularność, jakiej używał w powiecie. Ludzie nie lubią tych, którzy ich przerastają lub czymkolwiek odróżniają się, a pan Radoszewski wyglądał sobie na bardzo zwyczajnego człowieczka. Dopiero po bliższym poznaniu figurka ta nabierała wartości, bo w tych niepozornych kształtach, oblanych tłuszczem, kryły się niezmierne skarby szlacheckiej tradycji. Radoszewski wcieleniem był wad i cnót staropolskich. Ruchliwe grono gości zastaniało nam co chwila małą figurkę gospodarza, podając ją sobie z rąk do rąk wśród serdecznych wykrzykników.

— A to dopiero, jakbyśmy się zmówili.

— Wszyscyśmy się przelekli o ciebie.

— I hurmem się zjechali.

Tak odzywano się ze wszystkich stron, a gospodarz na to:

— Poczciwi sąsiedzi, kochani sąsiedzi!... Kto ma takich zacnych a uczynnych sąsiadów i przyjaciół — ten może spać bezpiecznie. Nie zginie — jak Boga kocham, nie zginie.

— Nie zginie, nie zginie — powtarzała chórem szlachta.

— Zacni, poczciwi, niech wam to Bóg wynagrodzi, pisał gospodarz dyszkantem i ocierał łzy, jakie mu rozczulenie wyciskało z oczu i rzucał się w coraz inne objęcia. Jacenty zbliżył się także z kolei i wyściskawszy i wycałowawszy z dubeltówki Radoszewskiego, rzekł, przedstawiając mu swego towarzysza.

— Przedstawiam ci mego gościa, inżyniera pana Kowalskiego...

— Z Sandomierskiego? Nieprawda, nieprawda? — zagadnął przybyłego Radoszewski.

— Nie panie, jestem ze Lwowa.

— Może syn Jędrzeja, który umarł przed czterema laty?

— Nie, mój ojciec żyje chwałą Bogu.

— To nic. Będzie to jeden także pewnie z moich znajomych, bo znałem wielu Kowalskich; byłem nawet z jakimś Kowalskim w szkołach. Może to i on, bo rysy pańskie nie są mi obce...

Przypominają mi kogoś dobrze znajomego...

Było to zwyczajem Radoszewskiego, że w każdym gościu wchodzącym w dom jego, dopatrywał zawsze jakiegoś stopnia koligacji lub znajomości, a to dlatego, by mógł jako już niby z dobrym znajomym, stanąć od razu na poufalej i serdecznej stopie i żeby gość nie czuł się obcym u niego. Zaraz potem następowały serdeczne pocałunki, a potem toast na cześć nowego gościa. Tą koleją odbywało się powitanie aż do wejścia służącego, który przyszedł poprosić do kolacji.

Gospodarz zwrócił się do gości i odezwał głośno:

— Pozwólcie kochani sąsiedzi na skromną przekąskę. Czym chata bogata tym rada...

Ruszono hurmem do stołu... Miała to być zaimprovizowana kolacyjka dla niespodziewanych gości, za której skromność gospodarz już naprzód przeproszał, a tymczasem technik zobaczył ze zdziwieniem zastawę, jakiej nieraz w zamożnych domach nie spotkać. Wszystkiego było po uszy jak na odpustowym obiedzie. Patrząc na to trudno było uwierzyć, że się jest w domu zrujnowanego szlachcica, który ostatkami goni.

Pan Jacenty widocznie przesadził, pomyślał sobie technik — tu przecież ruiny nie znać — a patrząc, z jakim apetytem i humorem sprząтали kochani sąsiedzi z półmisków, zrobił sobie uwagę, że przecież nie miano by litości objadać tak bankruta; taka uczta byłaby chyba stypą pogrzebową.

Miał czas do robienia sobie uwag, bo żadna rozmowa nie zawiązała się jeszcze przy stole. Wszyscy zajadali w milczeniu. Życzliwość sąsiedzka i wino wytrawiło żołądki, wszyscy byli przy apetycie, toteż jedli aż się uszy trzęsły. Przez dłuższy czas nic nie było słychać tylko brzęk widelców i nożów, a wśród tego urywane wykrzykniki na pochwałę potraw i gospodarza.

— Wyborne!

— Wyśmienite.

— Delicje prawdziwe!

— A już to można powiedzieć, że u ciebie Radosiu kuchnia jak rzadko.

A gospodarz z wyładowanymi jedzeniem policzkami kłaniał się i zapraszał, by jedli i dziękować za pochwały. Trwało to dość długo. Dopiero gdy żołądki należycie wyładowano, gdy były jak to mówią nalane i nadziane, rozpoczęto rozmowę. Z ilością wypitych kieliszków wzmagala się serdeczność i rozmowa. Każdy chciał się wygadać; toteż słowa krzyżowały się i plątały jak w babelskiej wieży. Z kolei przyszedł na języki i Edward Czujko.

— Jemu tam ciepło teraz — odezwał się jakiś jegomość siedzący naprzeciw Kowalskiego, zatarł ręce z uciechy, zaśmiał się jak zachrypnięty kogutek; a w małych oczkach jego zamigotało, jakby kto łepki od szpilek w nie wsadził.

— Toż się tam musi uwijać teraz — zrobił uwagę pan Fiderkiewicz, a staro-młodą jego twarz, zakonserwowaną jak ogórek w occie, pokrzywił śmiech w mnóstwo zmarszczek.

— No, rad bym teraz widzieć tego sztywnego Anglika — zahuczał tubalnym głosem stary Nemrod tej okolicy, Protasiewicz.

— Pewnie od tego gorąca zmiękł trochę i roztajał, wtrącił ktoś z tyłu.

— Gdzie tam — odezwał się gospodarz — wyobraźcie sobie, zastałem go z cygarem w ustach, z ręką w kieszeni, przypatrującego się pożarowi, jakby kto na ten przykład przypatrywał się sztucznym ogniom.

— Więc byłeś u niego?

— To się rozumie. Ponieważ to zawsze sąsiad, trudno mi było patrzeć spokojnie na jego nieszczęście, więc tedy mospanku jak tylko zobaczyłem, że gore, zabrałem na wóz czeladź, wiadra, drabiny, osęki i pojechałem.

— Ja bym tam nie pojechał — odezwał się ktoś kogucim głosem.

— Ani ja, ani ja — zawołało kilku innych.

— To powinna być nauczka dla niego, jak to źle nie mieć przyjaźni z ludźmi.

— Niechby się spalił z kretesem.

— Za pocziwyś mój Radosiu, za pocziwy. Tacy ludzie nie warci tego.

— To był mój obowiązek sąsiedzki i dlatego pojechałem. Ale teraz żałuję tego...

— A widzisz.

— Tacy ludzie nie umieją być wdzięczni.

— Wyobraźcie sobie, ciągnął dalej gospodarz — ja przyjeżdżam z całą ochotą i serdecznością ratować go, a on mi na to: nie potrzebnie się sąsiad fatygowałeś — bo wszystko jest asekurowane... Szkoda zachodu, zwłaszcza że ratunek już prawie niemożliwy.

Zgłupiałem, zrobiło mi się tak, jakby mnie kto zimną wodą polał...

— A co? Wychodzi na moje — zawołał ucieszony Jacenty, zwracając się do technika — jemu szło o to, aby się wszystko spaliło.

— A to dlaczego? — zawołało kilku.

— Bo mu asekuracja wróci więcej, niż fabryka była warta. To majster panie...

— Więc sąsiad dobrodziej myśli, że to umyślnie podpalono? — zapytał Protasiewicz.

— U niego to wszystko możebne — odezwał się Jacenty.

— A nie... nie... Co prawda to prawda — zaprotestował gospodarz. — Podpalone było, i to przez złość. Sam to mówił.

— Tak mu wypadało teraz gadać.

— Być może, że ktoś przez złość podpalił. Już podobno trafili na ślad.

— I który? Może Żydzi.

— Nie. Jakiś Szymon Łas...

— Ojciec Cyganki?

— Tak. Oni prawują się z Czujką o grunt. Cyganka rości sobie jakieś pretensje. A że kilka dni temu przegrała proces, więc bardzo prawdopodobnie, że to od nich wyjść musiało. Po prostu musieli się zemścić. Posłano zaraz dworskich do mieszkania Łasia i nie zastali go w domu, a Cyganka była mocno zmieszana i nie umiała powiedzieć, gdzie ojciec. Oj wszystko pokazuje, że to oni.

— To będzie ciekawa sprawa. Nasz Procesowicz ładny by z tego procesik wyprowadził. Prawda Sewerynie?

Słowa te skierowane były do szpakowatego jegomości, chudego, wysokiego i ziemianego koloru, który z nastrzępionymi wąsami siedział w końcu stołu i nie mieszał się wcale do rozmowy. Nazywano go powszechnie Procesowiczem, bo miał żytkę do pieniactwa. Dawniej nawet był adwokatem, potem, ożeniwszy się osiadł na wsi, ale zajęcia gospodarskie nie mogły go powstrzymać od uprawiania zawodu, do którego nawykął. Prawował się z sąsiadami, z włościanami, z Żydami o byle co, o kawał zaoranego pola, o wypasioną łąkę, o najmniejszą szkodę w lesie. Mieszkanie jego założone było aktami sądowymi — życie całe przepędzał na wózku, jeżdżąc na terminy. Zdarzało mu się często wygrać sprawę, ale ostatecznie przegrana zawsze była po jego stronie, bo jeżeli zyskał w procesie kilka reńskich, to przez zaniedbanie gospodarstwa stracił kilkaset za to, a nieraz i więcej. Toteż zabrął w długi — i ratował się tym, że drugim prowadził interesy. Szczególnie Żydzi, u których siedział w kieszeni, wysługiwali się nim. Procesowicz lubił przy tym zjazdy sąsiedzkie, gdzie popisowywał się chętnie adwokacką wymową. Toteż zdziwiło wszystkich, że tego wieczora siedział cicho jakby mu kto usta zamknął na kłódkę.

— Sewerciu! — zapytał go gospodarz — co się tobie dzisiaj stało? Czy proces jakiś przegrałeś.

— E, dajcie mu pokój, to kolejarze tak mu krwi napsuli. Nie mógł ich zmusić, żeby kolej poprowadzili przez jego wioszczynę, choć się nałaził za tym.

— Tak, to by go podreperowało. Wziąłby gruby grosz za swoje wydmy i piaski, na których nawet kartofle rodzić się nie chcą.

— Sprocesuj ich, radził któryś jowialny.

— Ba i tego próbował — odezwał się inny — ale mu się nie udało.

— Powinienesz Bogu podziękować — rzekł gospodarz — że twoją wieś ominęli. Jakbym ja był szczęśliwy, żeby się to mnie stało. Ale oni gwałtem dybią na moje Lipczyny. Najpiękniejszy kawałek ziemi chcą mi zabrać pod kolej i do tego kawał lasu. Ale niedoczekanie ich!... Nie dam ani piędzi ziemi — zawołał uderzając w stół.

Jacenty spoglądał niespokojnie na młodego technika. Słowa gospodarza były po trochu obrazą dla niego, bo on to reprezentował kolej. Chciał jakoś załagodzić tę sprawę i dlatego odezwał się prędko:

— Ależ Radosiu, wywłaszczą cię, zmuszą, mają do tego prawo. Nieprawdaż panie Kowalski. Bo ten pan od kolei.

— Pan od kolei — a to przepraszam — ale to się nie stosuje do pana. Pan robisz, co ci każą, ot tak jak żołnierz na wojnie: każą mu się bić i bije się, bo to jego obowiązek. Tu tylko zarząd winien.

— O ile wiem — odparł Kowalski — przyspieszenie budowy kolei ma jedynie na celu, aby przyjść w pomoc ludności wiejskiej, zagrożonej głodem i podnieść byt obywateli zrujnowanych kilkuletnimi klęskami i nieurodzajami.

— Tereferę mospanie dobrodzieju — wyrwał się Fiderkiewicz — kolei nie było, a ludzie żyli. Jak chcą pomóc, to niech stworzą nam kredyt w banku, a ludowi niech dadzą zapomogę w ziarnie i gotówce, to przecież krótsza droga. Kto tam na tym zarobi, chyba Żydzi.

— Dlaczego koniecznie Żydzi? Macie panowie lasy, szaber, kamień. To wszystko można będzie spieniężyć.

— A kto będzie pilnował roli? To nie dla nas interes.

— Niech ich tam las trzaśnie z ich koleją — huknął tubalnym głosem Nemrod — nie mieli co lepszego robić jak kolej. Jeżeli dotąd było mało zwierz w lasach, to teraz go wcale nie będzie. Nie będzie nawet po co ze strzelbą wyjść w pole.

Jacenty chciał znowu osłodzić swojemu przyszłemu in spe zięciowi tę pigułkę — i odezwał się żartobliwie.

— Naszemu Nemrodowi idzie tylko o to, żeby miał gdzie polować. Gdyby to od niego zależało, to by wszystkie pola zamienił w lasy, a ludzi w dzikie zwierzęta. A co, nieprawda kochany Protaziu?

Nemrod się roześmiał serdecznie, śmiech ten sprawił trzęsienie na całej okazałej powierzchni jego ciała — szczególnie w okolicy żołądka i podbródka. Za późno przypomniał sobie, że za ostro wyraził się może o kolei wobec jej reprezentanta i dla złagodzenia słów swoich dodał:

— No, kolej ma także swoje dobre strony; nie można zaprzeczyć...

— A tak — podchwycił inny — na przykład moja jejmość cieszy się już z tego, że nie będzie potrzebowała trząść się po złych drogach na odpust do Słupczowa, a za pięć godzin będzie mogła być u swojej ciotki w Krakowie. To mi jazda, aż miło.

— Tak, pod tym względem to będzie wygoda — wtrącił ktoś znowu.

— I za tę wygodę — odezwał się gospodarz — trzeba będzie pozwolić pokrajać sobie nasze cudne łąny, przetrzebić stare lasy, zeszpecić najpiękniejsze okolice. Jak im przyjdzie ochota, to gotowi jeszcze przez nasze cmentarze wytykać linie i gnieść maszynami święte prochy naszych ojców. Mówcie sobie, co chcecie, ale te koleje z przeproszeniem pańskim (te słowa zaadresowane były do technika) to wymysł szatański, i dlatego ja nie dam ani kawałka ziemi.

— To cię wywłaszczą.

— Niech wywłaszczą — odezwał się z ferworem gospodarz, znowu pięścią w stół uderzając, że aż szklanki i kieliszki zabrzęczały — niech wywłaszczają, niech biorą gwałtem, a dobrowolnie nie dam, jakem Radoszewski.

— To znaczy, że zamiast wziąć za morgę 600 reńskich, a może i więcej, dostaniesz pan zaledwie trzysta, gdy z urzędu pójdzie szacunek — odezwał się technik żywo, bo nie mógł słuchać spokojnie takiej gadaniny.

— I tego nie wezmę — odparł Radoszewski — bo ja ziemią ojców moich frymarzyć nie myślę.

Technik chciał znowu coś odpowiedzieć, gdy Jacenty wstrzymał go — i biorąc za rękę, szepnął:

— Daj pan pokój, nie drażnij go, bo to na nic się nie zda. Dziwak i basta. Na tym punkcie nie ma z nim co gadać...

Ale Kowalski nie dał się wstrzymać tym argumentem i znowu zabrał głos:

— Z tego co tu słyszę — rzekł — zdawać by się mogło, że nie można było bardziej dokuczyć panom, jak prowadząc kolej przez tę okolicę; gdy tymczasem gdzie indziej proszą się o to jak o największe dobrodziejstwo. Bo rzeczywiście droga żelazna jest dobrodziejstwem, gdyż łączy odległe miejsca z całym organizmem świata ucywilizowanego. Koleje to arterie, w których pulsuje życie ludzkości. Przez kolej okolica ta wejdzie w bliższy i łatwiejszy stosunek ze światem...

— I cóż zyskamy na tym połączeniu? — spytał Szperacki, chodząca opozycja, zerwawszy się ze stołka i stając jakby do pojedynku naprzeciw Kowalskiego. — Co zyskamy, pytam się? Chyba to, że zagranica będzie miała łatwiejszy przystęp do zarzucenia nas swoimi wyrobami, za które oddamy ostatni grosz jeszcze dziś trzymający się jako tako kieszeni, bo go się nie ma sposobności pozbyć.

— Jeżeli kolej będzie nam zabierać grosze, to będzie je także przywozić za nasze produkty...

— I ktoż to weźmie? Chyba Żydzi, bo ci mają handel w swoich rękach.

— To trzeba się postarać, aby nie był ich przywilejem wyłącznym. Po co nam tak kosztownych pośredników?

— Ciekawym, kto będzie chodził koło roli, jak szlachta zacznie kupczyć? My nie mamy do tego ani głowy, ani czasu. Od tego jest panie Żyd, żeby handlował i szachrował, a szlachcic...

— Żeby pracował na Żyda — dokończył z ironicznym uśmiechem Kowalski.

— Dlaczego ma pracować — odparł zbity nieco z toru tą uwagą Szperacki i urażony opozycją młodzieniaszka. — Przecież Żydowi nie daje się darmo. Ja sprzedaję, a on kupuje.

— Tak, tylko jak kupuje? Obywatel cały rok się mozoli, pracuje, boryka się z żywiołami, z ludźmi i w końcu zamiast zysku wpada w długi, a Żydzi robią majątki.

— Więc cóż na to za rada?

— Za granicą są spółki, domy komisowe, które prowadzą interesy bezpośrednio na innych targach europejskich. Coś podobnego można by zrobić i tutaj, a kolej ułatwi właśnie to zadanie.

— Na to trzeba dużo rzeczy.

— Przede wszystkim solidarności.

— I pieniędzy, których u nas brak.

— Z czasem się znajdą.

— Ba, ba, ba — czekaj tatka latka.

— Ale bardzo naturalnie, nie ma o czym gadać. Szkoda czasu.

— Ot, weźmy się lepiej do roboty. Taroczek czeka — zaproponował ktoś.

— Chodźmy do taroka — zawtórowało kilku i gromadnie ruszono się od stołu. Znowu po kolei każdy wyściskał gospodarza, a ten znowu przeproszał gości za skromne przyjęcie, wycelowano się z dubeltówki i wszyscy przeszli do świetlicy, gdzie już czekały rozłożone stoliki, karty i wino.

I pan Jacenty, wielki amator taroczka i wszystkich gier w karty — bo, jak mówił, dawały mu one chwile wytchnienia i zapomnienia o kłopotach, pociągnął także za innymi, zapomniawszy całkiem o swoim towarzyszu inżynierze. Ten nie poszedł za wszystkimi, nawet z pewnym rodzajem lekceważenia i pogardy spoglądał za tłoczącymi się do stolików — a potem wyszedł do ogrodu. W ogóle można było zauważyć z całego jego postępowania, że całe otoczenie, w którym się dziś przypadkiem znalazł, traktował trochę z góry, z pewnym poczuciem wyższości, którą może usprawiedliwiałoby zachowanie się biesiadników, ale nie usprawiedliwiał wiek młody i można by go z tego powodu posądzić o zarozumiałość.

Dla wytłumaczenia tego rysu w charakterze inżyniera muszę dodać, że od bardzo młodych lat przebywał za granicą, gdzie nabrał dużo uprzedzeń do swoich. Uprzedzenie to spotęgniało jeszcze po powrocie. Ukończywszy studia techniczne, powrócił do kraju, jakkolwiek za granicą ofiarowano mu, jak na początek, wcale korzystną posadę. Wrócił, bo życzeniem ojca jego było, aby pracował wpośród swoich i dla swoich. Tymczasem pokazało się, że w kraju nie było co robić — że nie mógł znaleźć dla siebie miejsca. Właściciele fabryk, których tak niewiele ma Galicja, z niedowierzaniem spoglądali na młodego człowieka przedstawiającego im świadectwa uzdolnienia: traktowali protekcyjnie, obiecywali jakby z łaski jakieś zajęcie — w rezultacie, gdy się jakieś miejsce pokazało, obsadzali je Niemcem. To w młodym inżynierze wzbudziło słuszny żal i oburzenie, z gorzką ironią począł obserwować fatalny stan rodzinnych stosunków i coraz więcej zrażał się do nich. Byłby wyjechał znowu, i może na zawsze, gdyby go ojciec nie był powstrzymywał, przedstawiając mu, że każdy początek jest trudny, że właśnie powinien zostać i starać się wszelkimi sposobami umieścić w jakiej fabryce, w jakim przedsiębiorstwie i tam działalność swoją rozwinąć, aby przekonać ziomków, że nie tylko obcy może coś zrobić w przemyśle.

— Galicja — mówił mu — zaczyna się teraz budzić do pracy, potrzeba więc być pod ręką, w pogotowiu, aby obcy nie zajęli wszystkich gałęzi przemysłu u nas, aby nas nie wyparli ze wszystkich stanowisk.

Młody człowiek tedy pozostał, a że nie chciał siedzieć i czekać z założonymi rękami, przyjął tymczasowo miejsce przy budującej się kolei, nie puszczając jednak z oka śmiałych planów, o których urzeczywistnieniu marzył zawsze. Młodej duszy, pełnej zapału, szlachetnej dumy i nauki, uśmiechała się ta myśl, że on będzie jednym z tych, którzy podniosą przemysł w Galicji. W tym celu bacznie obserwował stosunki miejscowe, poznawał kraj i ludzi. Toteż nic dziwnego, że to co widział i słyszał w domu Radoszewskiego, nie bardzo ucieszyć go mogło. Ludzie tacy, jak ich tutaj poznał, odejmowali mu wiarę w urzeczywistnienie jego planów, a przynajmniej odlewali to urzeczywistnienie na bardzo długo.

II

Podstuchane — podpatrzone

Ogród Radoszewskiego odpowiadał całkiem jego usposobieniom. Nie było w nim ani szerokich gazonów, ani pięknych grup drzew, ani sztucznych klombów. Podzielony był prostymi ścieżkami na kwatery obsadzone krzakami porzeczek i agrestów. W środku kwater między bujną trawą ślady drzewa owocowego, a dalej ku płotowi w końcu ogrodu maki, koper, kminek, sałata i wszelkie ogrodowizny rozsiadły się gęsto na pulchnych zagonach. Ogród ten otaczały z dwóch stron grabowe gęste aleje, datujące się jeszcze od królowej Bony, która tę modę wraz z włoskimi topolami wniosła do Polski i najprzód ją zaaklimatyzowała w biskupich i zakonnych dobrach. Gęsta ciemność panowała w tej chwili w alei; zaledwie tu i ówdzie przez liście jak przez sito przelewały się srebrne strugi księżycowego światła, które w przeróżnych arabeskach haftowało ciemności. Aleje kończyły się koło domu z jednej strony kilkoma rozłożystymi lipami, pod którymi stały dębowe stoły i ławy. Tam Radoszewski gościł zwykle za dnia kochanych sąsiadów.

Do tego miejsca zmierzał inżynier, wyszedłszy z domu, gdy w drodze zatrzymał go jakiś dźwięczny, młody głosik, który wydzwonił nad nim zapytanie:

— Prawda Kundusiu, że już gaśnie?

Kowalski podniósł głowę w stronę, skąd głos dochodził i ujrzał na ganeczku na tle oświeconych drzwi ostro zarysowany cień panienci, w krótkiej sukience, w długich, jasnych warkoczach, z zakasnymi powyżej łokcia rękawami. Panienska miała główkę podniesioną i zwróconą w stronę Zagajowa, w miejsce, na którym złościła się już bardzo niewyraźnie łuna dogorywającego pożaru.

— O! już znacznie przygasło — odezwał się głos rozstrojony i nosowy kobiety, która stała w zacienionym miejscu i dlatego mało co widzieć ją można było.

— Więc powiadasz — odezwał się znowu świeży głosik — że nic im się złego przez to nie stanie?...

— Nic zgoła. Jegomość mówił, że mieli wszystko asekurowane i wrócą im co do grosza.

— To chwala Bogu, chwala Bogu — powtarzała z uciechą panienska.

Inżynier słuchał tego głosu, byłby tak słuchał bardzo chętnie godzinę i dłużej, bo głos ten robił na nim podobne wrażenie jak śpiew słowika w letniej nocy — tak mu jakoś w sercu było dobrze, jakby kto w nim otworzył okienko i zapuścił promień słoneczny. Uczuł w sobie wiosnę. I widok panienci, również jak jej głos, miał dla niego coś pociągającego, z przyjemnością też przypatrywał się, zakryty cieniem drzewa, owemu zjawisku na ganku. Księżyc pomógł mu do tych obserwacji, bo wyrzał właśnie zza chmury i rzucił cały snop promieni na śliczniuchną twarzyczkę i błyszczące oczy dziewczęcia. Dziwnie uroczo i tajemniczo wyglądała między tymi dwoma światłami, niebieskawym księżycu i złocistym — od lampy pokoju. Twarzyczka jej była w tej chwili podobna do róży, z powodu silnych rumieńców, które paliły się na niej, co pochodziło stąd, że panienska niedawno wybiegła z kuchni, gdzie zajęta była pieczeniem ciastek. Miała jeszcze na sobie fartuszek biały i rączki mąką ubielone...

Nie miejcie mi za złe, że biorę bohaterkę prosto z kuchni, od ciastek i konfitur, gdy jest tyle innych panien, które by miały większe do tego pretensje, jak na przykład, nie szukając daleko, córki pana Jacentego, w tym właśnie czasie wystrojone, ublanszowane, udrapowane, oczekujące przybycia ojca z mniemanym konkurentem — i gubiące się w domysłach, co mogło być powodem spóźnienia. W przekonaniu tych panien nie kto inny, tylko one przeznaczone były na główne bohaterki tego romansu — i nie darują mi zapewne nigdy, że nad nie przeniósł nieokrzesaną Bronisję, podlotka dopiero wyzwolonego z klasztoru, nie umiejącego jeszcze chodzić w białej sukni, nie noszącego koka, nie mrużącego arystokratycznie oczu. Bronisia nie potrzebowała nic sobie dodawać, śmiała się chętnie i często, i to tym śmiechem głośnym, serdecznym, który odkrywa... swobodę duszy i białe ząbki. Pożar w Zagajowie zmałował na chwilę tę wesołość, ale skoro się dowiedziała od Kundusi, że właściciel nie poniósł żadnej straty, wróciła znowu do dawnego humoru i klasnąwszy w ręce z uciechą, zawołała:

— O! to w niedzielę będę u nas. Pan Walery przyjedzie z pewnością, skoro już wie, że wróciłam z klasztoru.

— Tak — i będzie jadł przypalone ciasteczka...

— Ach, moje ciasteczka — zawołała Bronisia z przestachem i rozwartymi rączkami rzuciła się w głąb pokoju, a za nią poszła Kundusia. Inżynier słyszał jeszcze dobrze stąpania po schodach młodej panienki zbiegającej do kuchni — i dziwna rzecz, zaciekało go, dla kogo biegła z takim pośpiechem piec ciasteczka — a lubo nie był wcale amatorem tego rodzaju przysmaków, czuł jakiś żal, jakąś niechęć do owego nieznanego, dla którego przeznaczone one były na niedzielę. Byłby chętnie przyjął na siebie tę robotę, a przynajmniej chętnie pogawędziłby zamiast niego z owym rozkosznym stworzeniem, które nań od pierwszej chwili takie sympatyczne wywarło wrażenie. Sam nie wiedział, czemu przypisywać to dziwne, niezwykle zajęcie się panienką spotkaną po raz pierwszy i to tak przelotnie. Może tak silnie przemówiły za nią zmęczone rączki i gospodarski fartuszek, może mu się spodobała, że ją zobaczył w tak poetycznej, księżycowej nocy, w fantastycznym oświeceniu księżycy; ale inżynier nie należał wcale do sentymentalnych marzycieli nocnych, był więcej realistą, choć realistą z sercem, ale umysłem trzeźwym. I może dlatego właśnie czuł cały urok tej natury świeżej, niesfałszowanej sztuczną afekcją, której panny po większej części pożyczają sobie z książek. Po tyloletnim pobycie w mieście, wśród kobiet sztucznie wychowanych, Bronisia pociągała go urokiem świeżości, prostoty i natury. Była ona typem polskiego dziewczęcia, który pod wpływem cywilizacji coraz więcej się zatracą. Pod wpływem różnych czynników, jakie postęp przynosi, otrzymujemy okazy w dobroci doskonalsze od Bronisi, więcej skombinowane i praktyczniejsze, ale inżynier pomimo całego szacunku, jaki żywił dla nowszych teorii wychowania, w głębi duszy uczuł teraz sympatię dla owych wiejskich dziewczuszek kryjących się jeszcze tu i ówdzie po dworach szlacheckich — o których czytał tyle, a których okaz doskonały miał obecnie przed oczami. Wszystkie uprzedzenia, jakie nabył za granicą, zarzuty, jakimi obarczał kobiety swego kraju, zbladły jakoś wobec Bronisi i zmałyły. Czuł, że gotów by się był sprzeniewierzyć w tej chwili swoim teoriom. Długo stojąc nieporuszony, myślał o tym; dopiero głośne krzyki, które słyszeć się dały wewnątrz dworu, wyrwały go z tego zakłętego koła. Krzyki pochodziły ze świetlicy, gdzie wzniesiono czyjeś zdrowie z zapalem. Kowalskiego raziły te wrzaski pijanych i usunął się od nich w aleję grabową, która oddzielała ogród od gospodarskich budynków. Chodził po niej czas jakiś, wreszcie usiadł na darniowej kanapce.

Po jakimś czasie usłyszał za sobą dwóch ludzi, którzy chodząc po podwórzu rozmawiali ze sobą. O ile poznać można było z głosu, zbliżali się ku tej stronie, gdzie siedział Kowalski — i w niewielkiej od niego odległości zatrzymawszy się, ciągnęli dalej rozmowę. Inżynier z początku nie zwracał uwagi na to, co mówili — ale powtarzane kilkakrotnie nazwisko Czujki, Łasia zajęły go trochę, bo nazwiska te znał już z opowiadania pana Jacentego i innych biesiadników. A że rozmawiający zatrzymali się niedaleko z drugiej strony płotu i nawet usiedli opodal — więc mógł dokładnie słyszeć ich rozmowę.

— Ba, ba — mówił jeden — nie złapią go oni tam tak łatwo. A choć złapią, to się wykręci, jak już nieraz bywało. A czy jemu to nowina siedzieć w kryminale? Nasiedział się już dość za różne sprawki, bo to człek mściwy i uparty.

— Więc mówicie, że on to przez złość zrobił?

— To się wie.

— I o cóż mu tak chodzi.

— O, to długa historia. To się jeszcze zaczęło za pierwszego pana, kiedy byłem oficjalistą w Zagajowie. Było mi tam dobrze, wszystkim było dobrze, bo pan był dobry, nie taki jak ten teraz. Niepodobny do tamtego choć rodzeni bracia. Ten twardy, nieużyty a dumny, a zaś tamten był miękki jak wosk, każdy z nim zrobił, co chciał. Toteż ludziska łązili do dworu jakby procesją, to o ziarno na przednówku, to o opał na zimę, to o zapomogę na wesele, a w kumy prosili go co niemiara bo im szło o hojne wiązanie dla chrześniaków. A pan dawał i dawał, aż go upominać musiano, że ludziska nadużywają jego dobrego serca i że tacy nawet przychodzą po wsparcie, co nie potrzebują tego. Ale on odpowiadał wtedy: to już ich grzech, a nie mój. Wolę wesprzeć i takiego, co nic nie wart, niż żebym miał przez to nieraz odmawiać takim, co tego istotnie potrzebują.

— A to uczciwe było panisko — odezwał się drugi głos.

— Oj, co uczciwe, to uczciwe, ale cóż, kiedy mu się ludzie nieraz źle odplacili za jego dobre serce, ale najbardziej dali mu się we znaki Łasiowie. Była to cygańska familia. Pan osadził to na roli, na Leśniczówce, z warunkiem, żeby Łas za to odrabiał ludziom we wsi kowalską robotą. Ale Cygan — zwyczajnie Cygan, na miejscu nie wysiedziało. Bywało, włóczył się po kilka miesięcy, ale gdzie bywał, co robił, nikt nie wiedział. Czasem wracał z grubym groszem, a rodzina jego postrojona w adamaszki i błyskotki, czasami znowu wracali odarci i biedni, a wtedy szli znowu do dziedzica z przeproszeniem i o zapomogę. Pan był miękki i dawał się przebłagać, szczególnie gdy za Łasiami zaczęła prosić ich córka Anćka. Matka stroiła dziewczynę w korale, haftowane koszule, jedwabne chustki i wodziła ją po jarmarkach i odpustach, przechwalając się przed ludźmi jej urodą. To dziewczynę wbiło w pychę i próżność. Zrobiła się zalotna. Gdy ją dziedzic pierwszy raz zobaczył, mogła mieć lat osiemnaście, a kształtna była jak świeca. Szatan wiedział, co pokazać, żeby wywieść na pokuszenie. Dziedzic trochę kochliwy, lubił ładne buziaki i Cyganka wpadła mu w oko — od tego czasu często zaglądał na Leśniczówkę. Ludzie we wsi poczęli już głośno gadać o tym — Łasiowie sami wygadywali i Cyganka nie tała się z tym, że dziedzic bywa u niej. Zaczęła się stroić — nietrudno się było domyślić za czyje pieniądze. Łasiom z tym nieźle się działo — dziedzic podarował im

parę krów i pola kilka morgów przyczynił. Żle było — ale nikt nie śmiał przestrzec dziedzica, bo to była drażliwa rzecz. Jednak jemu samemu po jakimś czasie otworzyły się oczy, bo rzadziej odwiedzał teraz Cygankę i nawet parę razy jej nie przyjął, gdy przybiegła do dworu. W końcu wyjechał z domu na dwa miesiące, a w tym czasie Cyganka powiła syna. Kiedy pan powrócił do domu, Łasiowa stara zaraz się zjawiła i prosiła o posłuchanie. Po paru dniach gruchnęło po wsi, że dziedzic Cyganom darował sołtysostwo i przyłączył je do Leśniczówki. Było tego razem więcej jak dwie kmiece role.

— I to może ten grunt, o który się teraz prawowali?

— Tak, to ten sam.

— No, więc im się prawnie należy, kiedy im dawny dziedzic darował.

— Ba, kiedy to nie koniec na tym. Darował — to prawda, bo taka była jego wola, ale potem żałował tego, bo młoda Cyganka, a bardziej jeszcze jej matka, która ją podmawiała i uczyła, jak ma wyzyskiwać dziedzica, zamiast być wdzięczni za jego łaskę, nachodzili go z coraz nowymi pretensjami. To przyłazili Łasiowie, to Cyganka sama z dzieckiem na ręku przybiegała do dworu prosić raz wraz o coś nowego. A pan dawał i dawał, żeby się pozbyć natrętników; aż w końcu cierpliwości się przebrało i chciał się ich pozbyć, bo go wstyd było przed ludźmi, że się tak zaplątał, a bardziej jeszcze bał się, żeby się to nie doniosło do Kalenicy, gdzie jeździł w konkury. Była tam panna jedynaczka, rozpieszczona, ale ładna co się zowie, choć nie rumiana, owszem bledziuchna i delikatna. Za to jej oczy, to istne bławatki na śniegu, a umiała nimi tak patrzeć, że cię po sercu łechtalo. Pan mój często tam jeździł i starzy państwo go lubili, a i panienska dość łaskawie na niego spoglądała. Słowem, zanosilo się na weselisko. Cyganka coś zaczęła miarkować i stała się natarczywsza, a że dziedzic do dworu wpuszczać jej nie kazał, więc go na gościńcu napastowała, a bywało nieraz ku Kalenicy się za nim puszczała. Była obawa, że tam do dworu kiedy za nim wpaść gotowa, bo była śmiała do bezczelności i gwałtowna; więc mogła to zrobić. Panu szło bardzo, żeby do tego nie dopuścić i chciał się co prędzej pozbyć Łasiów i Cyganki ze wsi. Odkupił więc od nich grunt i dodał jeszcze coś grosza, byle tylko wynieśli się w inne strony. Tak się też stało. Poszli gdzieś w świat i przez kilka miesięcy słycho o nich nie było. Pan odetchnął — a i my wszyscy we dworze kontenci byli z tego, że pan uwolnił się od takiej plagi — i niezadługo spodziewaliśmy się wesela. Wszystko się dobrze do tego składało. Starzy państwo z Kalenicy chętnie przyjęli oświadczyzny, panna z początku robiła ceregiele, ale w końcu zgodziła się — i ślub był zapowiedziany na drugą niedzielę zapustną. Młodszy brat dziedzica przyjechał z zagranicy i przywiózł panu powóz do ślubu, bo pannie zachciało się koniecznie nowego powozu. Właśnie oglądaliśmy wszyscy to cacko na podwórzu, gdy je rozpakowywano, kiedy naraz u bramy pojawiła się Cyganka z dzieckiem na ręku, obdarta, brudna i zbiedzona. Pan nasz, gdy ją zobaczył, zbladł okropnie i zmieszał się. W pierwszej chwili nie wiedział, co zrobić; ale służba, którą tak bezczelna natrętność Cyganki do żywego oburzyła, bez jego rozkazu rzuciła się ku bramie — i wypędziła Cygankę daleko za wrota. Ale na drugi dzień przyszła znowu, i to w czasie, gdy dziedzic z bratem wyjeżdżali do Kalenicy. Ja siedziałem wtedy na koźle obok furmana. Ten, gdy ją zobaczył zbliżającą się do powozu, zaciął konie i popuścił cugle. Musiało koło zawadzić ją trochę, bo wrzasnęła przeraźliwie, ale mimo to biegła jeszcze czas jakiś za nami, zawodząc i klnąc na przemian. Gdyśmy przyjechali do Kalenicy, pan wyglądał jak ten, co go na śmierć prowadzą. Wcale nie miał miny konkurenta. Widocznie spodziewał się, że Cyganka lada chwila wpadnie za nim do dworu, bo wychodząc z powozu,

polecił mi, bym czatował na drodze i nie puszczał jej ku dworowi. Spełniłem rozkaz, ale Cyganka czy przeczuwała to, czy też tak mocno okulała, że dojść nie mogła, dość że nie pokazała się wcale. Za to gdyśmy wrócili do Zagajowa, dowiedzieliśmy się, że Cyganka wniosła się do Leśniczówki i że Łas wrócił także z nią i mieszka przy niej. Łasiowa gdzieś podobno zmarła tymczasem podczas włóczgi. Leśniczówkę uważali znowu jakby swoją własność. Próbowaliśmy ją parę razy wyrzucić stamtąd, ale to było niepodobieństwem, bo wyprawiała sceny, wrzaski nie do opisanego; kładła się na ziemi, dzieckiem broniła się przeciw tym, którzy ją chcieli chwycić. Krótko powiedziawszy, nie można jej było nic zrobić. Pan musiał podać skargę do sądu; ale sprawa ta nie mogła się tak prędko rozstrzygnąć, a tymczasem była obawa, że Cyganka gotowa podczas ślubu zrobić jakąś awanturę. Myśleliśmy nad tym, jakim by sposobem na ten czas wydalić ją ze wsi, gdy tymczasem ona sama usunęła się nie wiedząc z jakiego powodu. Może bała się dworskich ludzi, którzy się na nią odgrażali. Dość, że schowała się gdzieś bez śladu. Aż tu naraz na tydzień przed ślubem pojawiła się w Kalenicy w kościele i gdy ksiądz czytał ostatnie zapowiedzi naszego pana, podsunęła się ku ambonie i zawołała głośno: jest przeszkoda, o! jest przeszkoda — on ojcem tego dziecka — i powiedziawszy to, podniosła dziecko w górę i pokazywała je na wszystkie strony.

— A to okropne! Ta kobieta musiała chyba być niespełna zmysłów.

— Gdzie tam. Dobrze ona wiedziała, co robi. Po ślubie już by się jej były wszystkie dochody urwały, dlatego użyła wszelkich sposobów, by pana skompromitować i zerwać małżeństwo. I to się jej całkiem udało. Panna zemdląca i nieprzytomną wyniesiono z kościoła; potem rodzice pannę wystali do Zagajówki — i odtąd pan nasz więcej tam się nie pokazał. Rozchorował się ciężko, a gdy po kilku miesiącach podniósł się z łóżka, to rodzony ojciec byłby go nie poznał, tak się zmienił do niepoznania. Schudł, zżółkł, podstarzał i wyłysiał.

— Pewnie to był tyfus.

— Tak doktorzy mówili. Ale jego nie to zjadło, tylko zmartwienie i wstyd przed ludźmi. Zamiast po chorobie przychodzić do siebie, on jeszcze więcej zapadł na zdrowiu, bo się gryzł w sobie, a nie miał go kto uspokoić, pocieszyć. Brat był niby grzeczny, mieszkał przy nim w czasie choroby, ale to był zimny człowiek zawsze. Toteż nasz pan nie przylgnął do niego, unikał go, unikał wszystkich i siedział najczęściej zamknięty w swoim pokoju. A jeżeli czasem pokazał się, to chodził jak błędny, nieprzytomny. Myśleliśmy, że to dalsze skutki choroby, ale niestety przekonaaliśmy się po jakimś czasie, że on pił. Tak. Desperacja nauczyła go tego.

— Cyganka wysiedziała się jakiś czas w areszcie za znieważenie świętego miejsca, a potem wróciła do wsi na Leśniczówkę.

— I nie wypędzono jej stamtąd?

— Było o to staranie. Sąd nawet wzywał pana, aby przysiągł, jako ten grunt Łasiom spłacił, ale pan nie stanął. Obojętnym mu już teraz było, bo Cyganka nie mogła mu już zrobić nic gorszego nad to, co zrobiła. Zaniechał całkiem procesu i sprawa ta poszła w odwłokę. Po jakimś czasie brat wyjechał od niego, a w rok niespełna ożenił się z panną z Kalenicy.

— Jak to? Brat się z nią ożenił.

— Tak, tak. To pana naszego do reszty dobiło. Jeżeli dawniej pijał w sekrecie, to teraz nie wstydził się już niczego, pijał po karczmach, po szynkowniach do upadłego — z desperacji.

— To ta po części i słusznie mówią ludziska, że brat go dobił. Ale że panna go chciała.

— Ha, był gładki, umiał się przypodobać, a nęcił go posag panny, bo on sam nie miał nic. Zagajów należał do naszego pana wyłącznie, dostał go nie po rodzicach, ale od ciotki, która go sobie bardzo upodobała. Ożenił się więc i osiadł w Kalenicy tuż pod okiem brata, niby na urągowisko. Powiadają, że raz pan nasz idąc z karczmy, spotkał ich jadących powozem — może i prawda, bo odtąd nigdy nie chciał iść w tamtą stronę ku Kalenicy, nawet po pijanemu, a gdy widział kiedy jakiś powóz lub bryczkę, to uciekał z gościńca ku lasom. Bał się zapewne spotkać z nimi. Unikał także innych panów, z którymi dawniej żył w sąsiedzkiej przyjaźni, jeżeli który z litości go nawiedził, to chował się przed nim, uciekał to do lasu, to do karczmy. Spotkał czasem dziada na drodze, to go zaciągnął nie do siebie, ale do karczmy i pił z nim bez opamiętania. I na Leśniczówkę zachodził nieraz po pijanemu do Cyganki, która od niego ostatni grosz wyciągała. Mówią, że go namówiła do małżeństwa. Czy prawda, nie wiem. Cyganka się sumituje na wszystkie świętości, że została jego żoną, ale świadków nie ma. Dziadek przy kościele, co miał być jednym ze świadków, dawno umarł, a służący Tomasz gdzieś się zapodział, że odszukać go nie mogą.

— No, a przecie w księgach kościelnych...

— Otóż widzicie w tym nieczysty interes, że właśnie w księgach kościelnych brakuje tej karty. Sąd dochodził i nie mógł dojść, w jaki sposób zginęła. Dlatego to proces tak się wlecze.

— No, a dziedzic nic nie poświadczył?

— Ba, kiedy dziedzic znikł. W przystępie rozpacz czy pijarstwa znikł jednego dnia jak kamień w wodę — i trzechletni chłopak Cyganki znikł także. Zaraz ktoś musiał dać znać o tym do Kalenicy, bo brat zjechał, majątek spisano i on wziął go w administrację. Poodmieniał zaraz służbę, pozaprowadzał różne zmiany i zaczął gospodarować jakby we swoim. I rzeczywiście niedługo potem Zagajów dostał się w jego ręce, bo w pół roku jakoś przyszła wiadomość o śmierci pana. Umarł biedaczysko gdzieś na drodze czy w karczmie; sąd sprawdził tożsamość osoby. Opis zgadzał się zupełnie, tylko to uderzało, że papierów żadnych przy nim nie znaleziono ani chłopca, którego zabrał z sobą. W taki sposób dzisiejszy dziedzic przyszedł do Zagajowa. Rozumie się, że zaraz chciał uprzętnąć Cyganów z Leśniczówki, ale nie było to tak łatwo. Dwadzieścia lat blisko ciągnął się proces — i teraz jeszcze kto wie, jak będzie, bo choć dziedzic niby to wygrał proces, ale ja wiem, że Cyganka nie ustąpi, a jeżeli ustąpi to nie daleko i będzie mu takie fajerwerki wyprawiać, jak dzisiaj na przykład — mnie się zdaje, że ktoś jest, co ich do tego podmawia i pieniądze daje na proces, bo oni by nie byli w stanie.

Opowiadanie to przerwał jakiś chłopak, który do mówiącego odezwał się:

— Proszę pana ekonoma, Abramko powiedział, że nie ma wina.

— Powiedziałeś mu, że się kwitki jutro zapłacą.

— Mówiłem. Ale powiedział, że i tak nie da, bo nie ma.

— No, no, już dobrze. Idź do kuchni.

Po odejściu chłopaka towarzysz ekonoma zagadał:

— Coś tu u was cienko...

— Oj, cienko, cienko. Resztkami się goni. Łata człowiek, jak może, ale trudno poradzić. Pan nie da sobie nic mówić o oszczędności. Skąd wziąć, to wziąć, byle było czym gości przyjąć. To się kiedyś źle skończy. A szkoda, bo pan dobry i pocziwy.

— To prawda, nie żałuje nikomu. Ciekawym tylko, czy jemu dadzą, jak mu zbraknie.

— Nie będą oni go wtedy tak kochali. Ha, cóż robić, trzeba będzie samemu pojechać do Abramka, bo wino musi być koniecznie. Pan by nie zniósł tego, żeby gościom miało braknąć. Za kwadrans wrócę, to sobie może zagramy w mariasza do puli. Zajedźcie do mnie...

Koniec tej rozmowy wytłumaczył Kowalskiemu zagadkę pozornej zamożności Radoszewskiego. Były to ostatnie podrygi bankruta, wysiłki niszczące do reszty jego egzystencję. Ruina ta wydawała mu się straszniejszą wobec wesołych śmiechów i głośniejszych toastów. Wyglądało to na stypę pogrzebową. Inżynier z obrzydzeniem słuchał tej pijanej wrzawy — i chcąc się od niej bardziej jeszcze usunąć, wszedł w drugą aleję grabową, którą idąc, doszedł do części domu, gdzie panowała cisza i w dwóch tylko oknach widać było światło.

Mile go uderzył przy wejściu do tej części ogrodu silny zapach rezedy i lewkonii, którymi gęsto były obsadzone ścieżki, pokręcone w różne esy i floresy, tak, że niewielka ta przestrzeń ziemi wyglądała jak misterny haft różnokolorowy. Przy świetle księżyca kolory mniej jaskrawe wydawały się oku, ale za to więcej fantastyczny był rysunek haftu z tajemniczymi cieniami, przetkany tu i ówdzie srebrnymi promieniami. Znać było w tej części staranną rękę kobiecą, która z miłością i znanstwem umiała chodzić koło tego. Domyślni czytelnicy pewno dodadzą sobie w myśli, że rączka ta należała do młodej i pięknej osobki, na przykład do Bronisi, tak samo może przypuszczał Kowalski, ale autor w interesie prawdy zaprzeczyć musi temu i przypomnieć, że Bronisia niedawno wróciła z klasztoru, a kwiatki sadzone jej rączką jeszcze nie miałyby z czym chwalić się oku ludzkiemu. To, co widział technik w ogródku, było wyłącznym dziełem starej Kundusi, którą przed chwilą widzieliśmy na ganeczku obserwującą razem z Bronisią pożar w Zagajowie — i przypominającą o piekących się ciasteczkach. Był to typ starej panny, typ wszechstronnie wyzyskany przez naszych powieściopisarzy ze wszystkimi śmiesznościami i przymiotami. Włoskie topole, krzykliwy paw — i stara taka klucznica, należały do niezbędnych akcesoriów dawnego domu. Nie będę więc nudził czytelników powtarzaniem znanego już opisu takich panien, dodam tylko, że Kundusia należała do ostatnich typów tego rodzaju. Było to z kośćmi pocziwe stworzenie, które nikomu w życiu krzywdy nie zrobiło. Wyglądała jak zwiędły grzybek, zajmowała się u pana Radoszewskiego całym gospodarstwem, na którym znała się doskonale, była czynna, ruchliwa, ale zanadto dobre miała serce. Nie chciała nikomu krzywdy zrobić, każdemu chciała dogodzić i dlatego nie umiała nic zaoszczędzić. Radoszewski był z niej kontent, bo umiała przyjąć gości po jego myśli, starała się

odgadnąć gusta każdego, by znalazł na stole to co lubił. Oboje nie pytali, co kosztować będzie przyjęcie, byleby u nich w domu nikomu na niczym nie zbywało. Przy tym była przywiązana do domu, nie jak sługa, ale jak najżyczliwsza przyjaciółka. Bronisię kochała nad życie, a po Bronisi swoją suczkę Pinię. Pinia była jakby jej córką — na nią przelała miłość macierzyńską, karmiła ją najsmaczniejszymi kęskami, pieściła i broniła od natarczywości dworskich brytanów i tylko czarnemu mopsowi pana sędziego z powiatowego miasteczka pozwalała cieszyć się względami swojej faworytki. W czasie gdy Bronisia wyjechała do klasztoru, Pinia była jedyną nieodstępną towarzyszką starej Kundusi, z nią rozmawiała w czarnych godzinach — jej się radziła w trudnych okolicznościach i kierowała się jej instynktem w ocenianiu ludzi. Na kogo Pinia szczekała i szczyrzyła ostre ząbki, ten już nie mógł być uważany przez nią za dobrego człowieka. Toteż czeladź dworska i goście starali się przez ujęcie sobie Pini wkraść się do łask Kundusi i zyskać sobie protekcyjne u niej dodatki do obiadu. Po przyjeździe Bronisi Pinia zeszła na drugi plan, a stara klucznica całą troskliwość swoją zwróciła na córkę swego pana. Nią zajmowała się od rana do wieczora, uczyła ją różnych sekretów gospodarskich, które jej się kiedyś po zamążpójściu przydać miały, dawała rady i nauki, ubierała ją według swego gustu, odprawiała nowenny na intencję szczęśliwego jej małżeństwa, a wieczorami na tę samą intencję kładła kabały.

Właśnie przy takim zajęciu zobaczył ją Kowalski, spacerujący po ogrodzie. Siedziała w swoim pokoju przy stoliku, na którym rozłożone były karty, a Bronisia z podpartą główką przypatrywała się uważnie i słuchała mówiącej. Ponieważ okno z pokoju było otwarte, więc mógł dokładnie widzieć całe wnętrze kobiecego mieszkania. Było ono urządzone całkiem w stylu staroświeckim; wszystko tu przypominało przeszłość. Ściany na żółto malowane, piec kaflowy z polewą pstrej barwy, na której odbijały się wypukłe figury zielonych papug, meble staroświeckiego fasonu obite wypłowiałym adamaszkiem, obrazy szerniałe od starości, a ramy złożone osłonięte były muślinem przed muchami i ubrane w robione róże. Po jednej stronie stało łóżko Kundusi przykryte ciemną kołdrą w tureckie palmy — nad łóżkiem obraz Matki Boskiej z siedmioma mieczami, przed którym paliła się lampka w sobotę. Przy łóżku na małym stoliku leżało kilka książek do nabożeństwa, lekarstwo jakieś, prawdopodobnie na ból zębów, bo Kundusia od niepamiętnych czasów cierpiała na fluksję, kalendarz i senniki. Druga strona należała widocznie do Bronisi, bo wyglądała jakoś świeżo i czyściej, na łóżku bieleła się płowa kołderka, a przy łóżku stał bukiet z kwiatami.

Młody człowiek niewiele uważał na te akcesoria, jego obchodziła głównie sama Bronisia, która z zadartą i nieco na bok przechyloną główką i zarumienioną twarzyczką, słuchała z uwagą i nabożeństwem słów kabały. Mógł się jej teraz napatrzyć do syta, a choć gorszył się sam swoją niedyskretną ciekawością, nie mógł zdecydować się odejść. Obrazek, jaki mu się przedstawił w ramach okna, uwięził go na miejscu. Był w nim dziwny urok, a choć inżynier nie wierzył w kabały, jednak nie mógł odmówić żywemu zajęciu się nią kobiet pewnej poezji. Obrazek ten miał dla niego nawet pewną tragiczną stronę, gdy sobie pomyślał, jak te dwie kobiety związane wzajemnym przywiązaniem zaglądają ciekawie w daleką przyszłość, a nie wiedzą tego, co im jutro los gotował — i wśród grożącej ruiny stawiają sobie wróżby o szczęściu. Myśli te byłyby go może bardzo melancholicznie nastroiły, gdyby Bronisia nie była się w tej chwili zerwała ze stołka ucieszona i klaszcząc w ręce zawołała:

— Więc przyjedzie czwórką — i oświadczy się. Ach Kundusiu droga — co to będzie za radość. Ale koniecznie czwórką musi przyjechać, jak przystoi na kawalera...

Te słowa pokropiły zimną wodą rozmarzoną trochę głowę inżyniera; przypomniały mu, że ma przed sobą pannę, która nie rozumie oświadczeń bez czwórki koni i krakowiaka, i że niepotrzebnie ubolewał nad jej przyszłością, gdy jest już taki, który o tym myśli. Całe jego zainteresowanie się tak mało mu znaną panienką, wydawało mu się chorobliwym marzycielstwem, którego się wstydził. Zły i niekontent z siebie odszedł od okna i przez furtkę wyszedł na dziedziniec.

Przed oficynami, koło których przechodził, stał jednokonny wózek, na wózku siedział jakiś szpakowaty jegomość i do parobka, co mu oddawał lejce, mówił:

— Jakby się pan pytał o mnie, to powiedz, że pojechałem do Habego i niezadługo wrócę. To powiedziałwszy, cmoknął na konia i ruszył ku bramie.

Kowalski poznał po głosie, że to był ten sam, którego słyszał koło sztachet opowiadającego historię Czujków. Nietrudno mu było zgadnąć, w jakim interesie pojechał do Habego.

III Żydowska rodzina

Abraham Habe był propinatorem w Lipczynach. Dawniej trzymał karczmę w Zagajowie, ale odkąd nastał dzisiejszy dziedzic nienawidzący Żydów, Habe usunąć się musiał. Powiedziano, że używał wszelkich sposobów, aby się utrzymać, używał protekcji znajomych Czujki, dawał nadzwyczaj wysoki czynsz, ale wszystko to nie pomogło. Czujko za żadne pieniądze nie chciał odstąpić od zasady, jaką przyjął, aby nie mieć żadnych stosunków i interesów z Żydami. Habe nie mógł mu tego zapomnieć i usadowiwszy się w Lipczynach, rozpoczął stamtąd skrytą podjazdową wojnę przeciw Czujce, w której chciał swoje straty powetować, a jemu ile możliwości szkodzić. Zabrał się do tego z przebiegłością i sprytem prawdziwie żydowskim. Ponieważ karczma w Lipczynach była już stara, ofiarował się wybudować nową, byleby mu wolno było postawić ją w dogodniejszym miejscu.

Radoszewski, nie domyślając się wcale ukrytych planów Habego, zezwolił najchętniej. Habe wziął się zaraz do budowania i wystawił wspaniałą nową karczmę tuż na granicy Zagajowa. Spostrzegł się Czujko, co mu zagraża, udał się do Radoszewskiego i w imię sąsiedzkiej życzliwości prosił go o zabronienie Żydowi stawiania karczmy; ale Habe miał czarne na białym — ustąpić nie chciał, a Radoszewski nie lubił procesów, a przy tym był trochę zależnym od Habego, bo wtedy był już jego dłużnikiem. Długi te z latami rosły z przerażającą szybkością, ogromna lichwa i nowe pożyczki powiększały je coraz więcej. Habe jednak nie figurował w hipotece Lipczyn jako wierzyciel, on załatwiał tylko drobne pożyczki Radoszewskiemu, które swoją drogą wynosiły już liczbę niemałą, a gdy szło o większą sumę, tłumaczył się wtedy niemożnością, ale zawsze na prośby dziedzica i za dobrym wynagrodzeniem nastroczał któregoś ze swoich współwyznawców i tego nazwisko podawał do hipoteki. Czy rzeczywiście nie rozporządzał większymi kapitałami, czy też to była ostrożność z jego strony, by nie potrzebował kiedyś narazić się dziedzicowi, występując z pretensjami swymi — trudno było odgadnąć. Dość, że w hipotece Radoszewskiego figurowało trzech innych wierzycieli, między

którymi Goldfinger największą reprezentował sumę. Był on w pokrewieństwie z Habem. Habego córka wyszła za syna Goldfingera, który był agentem handlowym w Wiedniu i znaczne już na swoją rękę prowadził interesy. Kto wie, w jakich warunkach kojarzą się małżeństwa u Żydów, ten łatwo odgadnie, że Habe nie musiał znowu być tak ubogim, skoro wydał córkę za syna jednego z zamożniejszych kupców Sokoła — tak się nazywało miasteczko w pobliżu Lipczyn, a więc musiał jej dać wiano odpowiednie do majątku pana młodego. Dziedzic jednak Lipczyn nie podejrzewał go o to i traktował jak biednego arendarza, który z jarmułką w rękach czekał czasem godziny całe pokornie na ganku, aż wielmożny dziedzic raczy wyjść do niego — i zapytać, czego chce. Habe bowiem posiadał w wysokim stopniu ten przymiot, który jest jedną z charakterystycznych cech naszych Żydów, to jest, że był uniżonym i cierpliwym, umiał czekać i kłaniać się, a każde odezwanie się do dziedzica zwykle od stałej formułki: z przeproszeniem łaski wielmożnego pana, zaczynał. Ta giętkość charakteru, która pozwala się nagiąć do wszystkiego, zrobiła Żydów u nas tak niezbędnymi. Wobec Żyda nie trzeba się niczego wstydzić, można go z góry traktować, wszystko przyjmie i datek, i urągowisko, i pożartować z niego można, gdy przyjdzie fantazja — słowem, Żyd stał się wygodnym jak pantofel, który układa się podług nogi, nie uciska, nie czuć go prawie, a robi wysługę. Pod tym względem Żydzi posiadają niezmierny talent i dlatego umieli wcisnąć się wszędzie. Habe przy panu Radoszewskim pełnił funkcję finansowego spowiednika i znał lepiej od niego stan jego interesów majątkowych — a wskutek tej dokładnej znajomości coraz mniej stawał się uczynnym, wiedząc, że zrujnowany szlachcic nie będzie mógł już wkrótce dostatecznie się odwdzięczać. Każda jednak odmowa Habego miała wszelkie pozory uczynności; nie dawał nie dlatego, że nie chciał, ale tłumaczył się tym, że nie mógł i tak umiał zręcznie ubrać w słowa swoją odmowę, tak zdawał się łamać sobie głowę nad wynalezieniem sposobu zaradzenia potrzebom dziedzica, że Radoszewski nie tylko gniewać się nie mógł na niego, który choć sam nie miał, to zawsze wystarał się gdzieś, wyszukał, wyprosił a pomógł. Bez Habego Radoszewski dawno już byłby w niemożności prowadzenia gospodarstwa — on pomagał mu łątać biedę, sztukować interesy, a nawet podtrzymywać w nim wiarę, że wszystko da się jeszcze uregulować. Dlatego Radoszewski nazywał go prawą ręką i wszyscy oficjaliści tak byli przyzwyczajeni do interwencji Habego, że w kłopotliwych interesach gospodarskich nie do pana, ale do niego wprost się udawali.

Dziś Habe obchodził wieczorem niezwykle święto. Była to dla niego uroczystość podwójna, bo i syn jego Dawid wrócił z Wiednia po ukończeniu akademii handlowej i córka przyjechała odwiedzić rodziców. Oboje dzieci strojem, zachowaniem się i sposobem życia wielce się różnili od rodziców. Podczas gdy Habe chodził jeszcze starym zwyczajem w długiej kapocie, jarmułce i zakręcał pejsy, syn jego ubrany już był według ostatniej mody wiedeńskiej — z pewną nawet pretensjonalnością do wyszukanej elegancji, że wyglądał jakby z żurnala wycięty. Więcej jeszcze różniła się córka. Pomimo że zwyczajem galicyjskich Żydówek obcięto jej włosy, gdy szła za mąż, barbarzyńskiego tego zeszpecenia głowy nie znać już było na niej wcale. Sztuka fryzjerska umiała zastąpić ten brak, co tym łatwiejsze było, że teraz i nie-Żydowie w podobny sposób radzić sobie muszą i zastępować skąpą naturę. Głowa więc dawnej Małki goła po ślubie jak kolano, dziś u pani Amalii Goldfinger ozdobiona była modną fryzurą — i w tej eleganckiej damie ubranej w zieloną aksamitną suknię, ozdobną bogatymi koronkami, poobwieszaną brylantowymi kolczykami, złotymi łańcuchami, nikt nie byłby poznał owej małej brudnej Żydóweczki, która w Zagajowie siadywała przed karczmą z głową rozczochraną, pełną pierza, w zabłoconych pończochach, nieumyta, cuchnąca czosnkiem i trzymająca w brudnych palcach kawałek śledzia. Kilka lat, które spędziła przed zamążpójściem u jakiegoś krewnego rodziców

w mieście powiatowym, a w końcu pobyt w Wiedniu, gdzie mieszkała od jakiegoś czasu — i dobrobyt — tak ją zmieniły do niepoznania. Wiadomo, że kobiety prędkiej nabierają ogłady i poloru towarzyskiego, że łatwiej im zmieniać stroje i towarzystwo i zastosować się do tego. Łatwość ta najwybitniej pokazuje się w przerzucaniu się jednej mody w drugą. Mężczyzna potrzebuje do przeistoczenia się pewnego czasu, oswojenia się. Kobieta z równą łatwością porusza się w kopulastej krynolinie, jak i w wąskich sukniach, które wymyśliła ostatnia moda jakby na spętanie. Dzięki tej łatwości przeistaczania się — stanowiącej charakterystyczną cechę takiego usposobienia, Amalia Goldfinger wyglądała jeżeli nie na wielką damę, to przynajmniej na wcale szykowną wiedeńską piękność. Była to kobieta jeszcze młoda, białego delikatnego ciała, pulchna, z dołeczkami na policzkach i na rękach i z noskiem nieco namiętnie rozdętym. Wargi miała grube, wilgotne, oczy niebieskie jak turkusy na jej pierścionkach — a włosy jasne — mówię to, o tej odrobinie włosów, która była jej wyłączną własnością — włosy te lekko się skręcały nad czołem i to nie za pomocą żelazka ani szpilki rozgrzanej, ale wskutek naturalnego popędu do kręcenia — co stanowi także ogólny przymiot żydowski.

Oprócz syna i córki przybył jeszcze jeden gość — Aron Goldfinger. Do niego to najprzód zajechała w gościnę Amalia, bo Sokół po drodze wypadał, zabawiła tam u teścia wraz z bratem swoim dni parę — a teraz Goldfinger stary towarzyszył jej i odwiózł do rodziców.

Aron Goldfinger przedstawiał znowu innego rodzaju typ żydowski, a mianowicie ten, który wyrobił się u nas wskutek ciągłego obcowania ze szlachtą naszą buńczuczną i krzykliwą. I on chodził jeszcze w długim chałacie, ale zrobionym już surdutowym krojem — miał brzuch okazały, który mu dodawał miny i powagi, krótko strzyżoną brodę, spojrzenie pewne, śmiałe, nawet aroganckie. Wyglądał z tym trochę na szlachcica przebranego za Żyda. Przejął nawet od szlachty pewne wyrażenia, zaklęcia się, przysłowia, którymi popisywał się chętnie na jarmarkach końskich. A mówił głośno, krzykliwie, jakby chciał, żeby go wszyscy słyszeli. Właściwie był on kupcem żelaza. Zaczął także od małego, bo od sprzedawania podków, gwoździ i starego żelastwa, a doszedł do tego, że sklep jego miał towary z najlepszych fabryk i w znacznej obfitości, i że cały powiat u niego zaopatrywał się w żelazne sprzęty i naczynia. Z czasem jednak interes ten stał się dla jego ambicji za mały — zostawił go żonie swojej, która dotąd pełniła była przy nim obowiązki subiekta, a sam zajmował się teraz większymi spekulacjami; handlował końmi, kupował lasy, pożyczał na procenty. Na jednym stracił, na drugim zarobił — a koniec końców zysk był zawsze na jego stronie. Niemalą pomocą w interesach był dla niego Habe — niepozorny ten i skromny Żyd posiadał spryt i znajomość rzeczy, której nie miał Goldfinger. On miał pomysły dobre, odwagę do zaryzykowania, ale często w prowadzeniu interesów strzelał bąki. Przeciwnie Habe był ostrożny, uważny, oględny — i rady jego nieraz uratowały Goldfingera od wielkich strat. Toteż Goldfinger cenił jego zdanie i rad z nim wchodził w spółkę do wielu interesów. Tak zawiązała się między nimi bliższa znajomość, której skutkiem było małżeństwo ich dzieci. Był to także rodzaj interesu. Goldfinger z synem zaawanturowali się w jakieś spekulacje giełdowe, które chwilowo groziły im ruiną. Potrzeba było zaciągnąć znaczną pożyczkę, by wytrzymać kryzys. Habe zdecydował się dać tę sumę. To nie tylko uratowało Goldfingerów, ale postawiło ich interesy na świetnej stopie. Z zysków osiągniętych znaczna część przypadała także na Habego. Goldfingerom nie chciało się takiej sumy puścić z rąk, zaproponowali więc małżeństwo i wskutek tego suma ta została jako wiano w rękach młodego Goldfingera. Habe także zadowolony był z tego małżeństwa, bo obrotność i spryt zięcia podobały mu się i był pewny, że nie straci tego, co wziął za córką, ale owszem będzie umiał robić pieniądze. Radził mu tylko, aby porzucił Wiedeń, a szczególnie

giełdę i pieniądze swoje lokował w majątkach ziemskich, jako pewniejszych. O to były ciągłe sprzeczki między ojcami. Goldfinger był bezwzględny i chciwy, szalone zyski, jakie ona dawała, odpowiadały jego ryzykownym usposobieniom i ambicji — i nie tylko pochwalał operacje syna, ale sam oddawał mu swoje pieniądze do tych operacji. Skutek był rzeczywiście pomyślny i ogromny. Goldfingerowie tryumfowali nad tchórzliwym Habem; ale ten mimo to nie dał się przekonać, a nawet zastrzegł sobie, aby posag córki jego ulokowany był nie na giełdzie, ale na jakimś ziemskim majątku — i tak uparcie stał przy tym żądaniu, że zięć rad nie rad zgodzić się musiał na to, jak mówił, dziwactwo. Właśnie teraz przez córkę przysłał mu list, w którym zezwalał na kupienie majątku ziemskiego, a zarazem donosił mu o interesach dotyczących się kolei — Habe bowiem w spółce z Goldfingerami starał się o dostanie budowy kolei od Sokoła aż do granicy, to jest na przestrzeni dziesięciu mil. Był to interes korzystny, ale dla Habego miał on jeszcze większą wartość, bo pomiędzy współubiegającymi się był także Czujko z Zagajowa. Habe, który nie mógł nigdy zapomnieć mu wypędzenia z karczm, dowiedziawszy się o tym, zaczął z podwojoną usilnością starać się teraz o przedsiębiorstwo, szło mu bowiem już nie tylko o ten interes, ale zarazem o dokuczenie Czujce, o tryumf nad nim. Pozycja, jaką zięć jego zajmował w Wiedniu, ułatwiła mu to zadanie, miał on bowiem stosunki z dziennikarzami, z figurami w ministerstwie, w izbie handlowej i tą drogą mógł wiele zrobić. Pomagała mu także znajomość podrzędnych indywiduów, które sobie ująć umiał. Figury takie często wiele mogą, bo mogą wprowadzić tylnymi drzwiami tam gdzie na próżno inni usiłują wejść frontowymi schodami. Miał więc powód cieszyć się — toteż twarz miał roz pogodzoną, oczy błyszczące — zacierał ręce z radości, uśmiechał się do projektów, które sobie układał — nucił pod nosem same wesołe pieśni i parę razy pocałował córkę w czoło.

Kto by był widział w tej chwili Żyda, mizernego arendarza, całującego i głaszczącego wiedeńską elegantkę, byłby zapewne zdziwiony tym niezwykłym widokiem. U Żydów nie jest to wyjątkowym zjawiskiem. Pozbawieni bytu politycznego, prześladowani, pogardzani — skupili się oni koło ogniska domowego — i wyrobili w sobie cnoty rodzinne. Religia była ich ojczyzną i rodziną, a rodzina — rodzajem religijnego obrządku. Pojęcie to rodziny z czasem rozszerzyło się na takie rozmiary, że cały ten naród stanowi prawie jedną rodzinę dbającą wzajem o siebie, wspierającą się i trzymającą solidarnie ze sobą. Ta solidarność niesłychana — to cement, który łączy Żydów w taką potężną a dla nas tyle niebezpieczną całość. Walka o byt, jaką to pokolenie prowadzi z nami od kilku wieków, da się porównać do pracy i zmyślności mrówek, które z czasem olbrzymie pnie drzew umieją przetrwać i przerobić na własną siedzibę. Po części przerobili już Galicję na swoje siedziby, zdobywając powoli piędź po piędzi.

Habe myślał także o zdobyciu sobie w tej obiecanej ziemi pewnej przestrzeni. Praca całego jego życia skierowana była do tego. W kahale wiedzano dobrze, iż celem jego zabiegów był Zagajów i Lipczyny, bo kupił sobie prawo eksploatacji tych dwóch posiadłości dla siebie.

Tu dla objaśnienia czytelników, którzy by nie rozumieli, co znaczy kupienie prawa eksploatacji, powiedzieć muszę, że Żydzi, jako naród wybrany, uważają się za wyłącznych dziedziców tej ziemi, a posiadanie jej przez innowierców uważają za zabór — i dążeniem ich jest odebrać swoją własność możliwymi sposobami. Ta dążność wywłaszczania poparta chciwością właściwą naturze ludzkiej objawia się w całej działalności Żydów; działalność ta nie jest przypadkowa, dorywcza, ale ma swój plan, swoją organizację. Aby jeden drugiemu nie przeszkadzał w tej walce, każdy wybiera dla siebie pewne pole działania, odpowiednie swoim

zdolnościom i za prawo wyłącznego eksploatowania tego pola opłaca się kahałowi, który środkami religijnymi zabezpiecza mu tę własność od innych współwyznawców.

Takie prawo zakupił sobie Habe na Zagajów i Lipczyny, a Goldfingerów przypuścił do spółki w tym przedsięwzięciu. Miał on zamiar osadzić znowu młodego Goldfingera z żoną w Lipczynach, a synowi przeznaczył Zagajów. Plany te należały jeszcze do dalekiej przyszłości, bo dużo jeszcze było przeszkód do urzeczywistnienia ich, mimo to Habe nie wątpił o ich spełnieniu i szedł do tego celu wytkniętą drogą, ostrożnie omijając przeszkody lub usuwając je — zatrzymując się czasem i przyczajając, to znowu przy sprzyjających okolicznościach szybko się naprzód posuwał. Przewrotny i cierpliwy Habe umiał czekać — Goldfingerowi jednak cały proces wywłaszczenia wydawał się za nudny; gorączka z natury, pragnął przyspieszyć zakończenie interesu i o to były nieraz sprzeczki między nimi.

— Czemu ty, Abraham — mawiał mu nieraz i dziś mu to powtarzał — nie kończysz już raz z tym Radoszewskim. Weksle mamy, jesteśmy pierwsi na jego hipotecę, na co więc czekać? Wystawić majątek na licytację i basta.

— No i co z tego? — spytał Habe drwiąco.

— Jak to co z tego? Przyjdziemy prędzej do posiadania Lipczyn...

— A Czujko? Czy ty myślisz, że Czujko da nam kupić? On pierwszy stanie do licytacji, bo on ma oko na Lipczyny. I trzeba mu przyznać, że ma rację. Dla niego Lipczyny mają większą wartość niż dla kogokolwiek, bo Zagajów ze wszystkimi fabrykami, z modnym gospodarstwem nie ostoi się bez Lipczyn, które mają las i łąki, na czym tam zbywa. Czujko rozumie to dobrze i dlatego będzie licytował Lipczyny bardzo wysoko — i przelicytuje nas.

— Jak ma przelicytować, to czy dziś, czy za kilka lat, zawsze przelicytuje. Lepiej, że wcześniej przyjdziemy do naszych pieniędzy.

— Goldfinger, Goldfinger, co ty gadasz?... Gorączka cię zaślepia. Który interes da ci taki procent, jak ten, który ci płaci Radoszewski?...

— Giełda da dwa razy tyle.

— Giełda — giełda — tam możesz zarobić, ale możesz i stracić: a tu pewność i interes czysty jak bursztyn, a ważny jak złoto. Z licytacją nie ma się co spieszyć, bo nam nie ucieknie. Nikt inny nie może wystawić Lipczyn na licytację prócz nas. Więc można jeszcze czekać, dokąd będzie można. Widzisz Goldfinger, ja mam słabość do tego starego, to niezły człowiek, choć głupi, chciałbym mieć z niego jeszcze jakiś czas dojrzałą krowę, ale dorzynać go bym nie chciał. Może jak go bieda przycisnie, da się namówić na sprzedaż lasu — to by nam było na rękę do naszego interesu przy kolei, a jego by na jakiś czas podtrzymało — niechby sobie dosiedziało na Lipczynach do śmierci, niby jak na dożywociu — a potem — potem Goldfinger, nasze dzieci tam posadzimy. To będzie dla nich niezły kasek.

— Jeżeli go nam Czujko nie pochwyci...

— To już moja rzecz — rzekł z dumą i pewnością Habe, gładząc się po brodzie. Niedoczekanie jego, żeby on tam miał wleźć.

— A jeżeli, jak mówisz, tak mu zależy na Lipczynach i stanie do licytacji.

— Tak, gdyby licytacja była dziś lub jutro, wreszcie za rok, dwa. Ale później... później — dodał z dziką radością — nie będzie miał z czym stanąć. On już dziś nie ma połowy tego majątku, co go miał, gdy wchodził do Zagajowa, a za kilka lat to może będzie mógł być kontent, jeżeli się przy Zagajowie utrzyma. A ja postaram się, żeby się i tam nie utrzymał. A! Goldfinger, co to będzie za radość dla mnie, jak ja tego psa będę mógł do reszty zniszczyć. O! on mi niemało krwi napsuł. Przez niego interesy moje dużo ucierpiały. Musiałem ja niemało sztukować głową, żeby nadrobić to, com przez niego stracił. Stawał nam Żydom wszędzie w drodze. Pozna on kiedyś, co to Żyd znaczy. Chciał szlachtę zbuntować przeciw nam, odstręczyć ją od robienia z nami interesów, ale go nie usłuchali, bo on pyszałek nie umiał się wziąć do tego. On głupiec chciał, żeby jemu szlachta za to dobrodziejstwo kłaniała się, a szlachta tego nie lubi. Ona woli Żyda, co się i pokłoni, i zniesie niejedno dla zysku. Dziś on sam jak palec, co robi, to mu się nie uda, kredytu nie ma. Niech jeszcze zryzykuje się na kilka takich szalonych przedsięwzięciach jak te dotychczas, to będzie bankrut. A wtedy my górą, Goldfinger, my górą.

Nie był to już ten sam Habe, którego widywano na gankach domów obywatelskich, kłaniającego się pokornie za każdym słowem. Tu wobec rodziny, w rozmowie ze swoim współnikiem, mała figurka jego nabierała pewności i siły. Goldfinger z pewnym uszanowaniem i uznaniem wyższości patrzył na niego i uderzając go po ramieniu rzekł:

— Abraham, niech cię nie znam, jak ty umiesz prowadzić interesy.

Habe nic nie odpowiedział, tylko zadowolony zapuszczał kościste palce w szpakowatą brodę, a w błyszczących oczach znać było, że dalej snuł w głowie marzenia przyszłych tryumfów.

Rozmowę tę prowadzili dwaj Izraelici na wzgórzu pod chłodnym cieniem wspaniałych dębów, skąd szeroki widok się otwierał na okolicę. Widok był tak malowniczy, że tylko oprawić go w złote ramy i powiesić na ścianie; wszystko tam było, co potrzeba do odmalowania cudownej sielanki — i aksamitne kobierce zielonych łąk, obmalowane potokiem i wikliną — i chaty wsi porozrzucane po wzgórzu wśród lasów — i biały gościniec idący górą, po którym jak w panoramie przesuwali się ludzie wracający z kościoła — i czerwony dach kościoła z gotycką wieżą otoczoną lipami, które odbijały się w zwierciadle stawu. A nad tym wszystkim szeroka kopuła czystego lazuru emaliowana tu i ówdzie białymi obłoczkami. Wszystko było, co mogło zająć oko i rozmarzyć duszę. Ale ani Habe, ani Goldfinger tego wszystkiego nie widzieli. Dla nich te piękności natury przedstawiały się z innej strony; drzewa, chaty, pole — reprezentowały liczby wartościowe tylko. Umieli oni używać natury, ale się nią zachwycać nie umieli. Nie myślę przez to, żeby jej mieli tylko używać dla interesu, owszem używali jej nawet dla przyjemności i wygody — ale było to czysto zmysłowe uczucie. Na Goldfingerze na przykład cienisty las musiał zrobić przyjemne wrażenie, bo zdjął surdut i położył się na nim pod drzewem, a Habe posunął wygodę jeszcze dalej, bo ściągnął także i buty. Byłby sobie do tego jeszcze dla całkowitego użycia przyjemności wsi i sabatu zapalił fajeczkę lub cygaro, ale przepisy kościelne nie pozwalały im na to, a Habe i Goldfinger ściśle trzymali się przepisów religijnych. Goldfinger był troszkę mniej skrupulatnym w tym względzie, ale przez wzgląd na

Abrahama, nie pozwolił sobie tego. Obaj jednak z pobłażaniem i bez zgorszenia patrzyli na młodego Habego, który rozłożywszy się pod drugim drzewem zapalił cygaro i siostrze swojej, częstowanej przez matkę gotowanym bobem — czytał głośno lirycznym tonem poezje Heinego. Tak jest, uczeń szkoły handlowej czytał Heinego i wzdychał nad nieszczęściami „świerka, co stał na północy” — wzdychał on, który jutro pójdzie handlować lasami i setki takich rosnących świerków zawiezie pod tartaczną gilotynę — a siostra jego w przestankach, w których miała usta wolne od jedzenia, napełniała powietrze wykrzyknikami: ach, jakie to cudne, boskie, wspaniałe. Ona także przepadała za Heinem — żaden bowiem poeta nie jest tak wiernym zwierciadłem charakteru żydowskiego, będącego mieszaniną dziwnych, jaskrawych sprzeczności i sentymentalnego liryzmu, trzeźwości, szyderstwa gryzącego jak cebula i uczuć rodzinnych. „Donna Klara” Heinego i „Sonet do matki”, to dwa bieguny, między którymi obraca się cały świat żydowski. Toteż Heine wraz z rozszerzeniem się wpływu żydowskiego zdobywa sobie coraz więcej zwolenników — jest on, można powiedzieć, ich narodowym wieszczem. Dawid Habe miał kompletne wydanie dzieł jego i w chwilach wolnych od spekulacji i obliczeń procentów czytywał „Liryczne intermezzo”, „Księgę pieśni” i „Noce florenckie”.

O zmierzchu całe towarzystwo wróciło do domu na zakończenie święta i zasiadło do wieczerzy. Rozmowa toczyła się o Wiedniu, o przyjemnościach stolicy, o wpływie, jakie wywierają dzienniki będące w rękach żydowskich na opinię publiczną, o wzroście tam żywiołu żydowskiego. Habe słuchał tego wszystkiego z wielką uwagą i zajęciem. Z oczu jego można było odgadnąć, że go to napawało dumą i radością, gdy słyszał, jak możni i potężni są jego współwyznawcy jakie stanowisko umieli zająć w tak krótkim czasie w społeczeństwie, które ich niedawno temu traktowało z pogardą i lekceważeniem.

— Proroctwo Jehowy się spełnia — mówił, głaszcząc brodę zadowolony — rozmnażamy się jak piasek w morzu, a Pan rozszerza chwałę nasienia Abrahamowego. Wiedniowi mamy wiele do zawdzięczenia, stamtąd wyszły pierwsze głosy domagające się praw dla biednych, pokrzywdzonych Żydów — tam oni stoją lepiej niż gdzie indziej, a jednak moi drodzy — nie wiem czemu — mam wstręt do tej stolicy. Gdy w synagodze czytam o Babilonie, to mi zaraz Wiedeń na myśl przychodzi — i rad bym jak jakiś prorok co prędzej wyprowadzić stamtąd lud wybrany. Coś niedobrego wącham w powietrzu. Ten nagły wzrost miasta, o którym słyszę, ten szalony obrót kapitałów i mnożenie się fortun ogromnych, przeraża mnie — boję się, że ten sztuczny gmach może kiedyś runąć i nas zagrzebać. Dlatego pragnąłbym moich najbliższych przynajmniej wycofać, nim nadejdzie jakieś nieszczęście.

— I jakież może być nieszczęście? — spytał stary Goldfinger.

— Jakie? Ja sam nie wiem, bo to trzeba być na miejscu, żeby można to zobaczyć. My z daleka mamy o tym wyobrażenie jak o czymś cudownym. Ale mnie się zdaje moim głupim rozumem, że to się kiedyś urwać musi... To bardzo naturalne. Papier, co bardzo w górę leci, może także bardzo spaść, mało do tego potrzeba.

— To znowu się podniesie — wtrącił syn, chcąc także popisać się ze swoim zdaniem w kwestiach finansowych.

— Tak, papier się podniesie, ale człowiek utonąć może. Widziałeś nieraz jak się czółno wywraca na wodzie? Czółno można odwrócić znowu, ale człowieka, co wpadł w wodę, nie zawsze uratować można. Dlatego ja wolałbym, żeby twój syn, Goldfinger, tu do nas się sprowadził, a przynajmniej tu robił interesy. Galicja jest dobrym krajem na spekulacje, tu można robić niezłe interesy, nawet większymi kapitałami. Skoro matka przyjedzie, będę chciał i ja jechać do Wiednia, pogadam z nim mądre słówko.

W czasie kiedy to mówił — łuna pożaru oświeciła okna alkierza. Wszyscy zerwali się przestraszeni i wybiegli przed dom. Abraham wyszedł jeden z ostatnich — pożar ani go przeraził bardzo, ani zajmował — dopiero kiedy zobaczył, że się to palą fabryki — zaśmiał się niecierpliwie i zawołał:

— To głupiec... podpalał fabryki.

— Kto taki? — spytał syn.

— No kto — ten kto podpalił?

— A skąd ojciec wie, że podpalone? — spytał Dawid — Pożar mógł powstać przez nieostrożność.

Habe chwilkę zdawał się zmieszany tą uwagą — wnet jednak przyszedł do równowagi i rzekł:

— Pewnie go kto podpalił, bo on nie ma przyjaciół między ludźmi. To zły człowiek i szlachta go nie lubi, i chłopci także. Pewnie znowu komuś wyrządził krzywdę i ten go podpalić musiał. Ale osioł dopiero, żeby fabryki podpalać. Co mu robi? Jeszcze mu pomógł, bo fabryki już i tak nic nie były warte, a jeżeli je wysoko zaasekurował, to jeszcze zarobi na tym interesie. Gdyby mu byli młyn spalili — to by była rzecz. Teraz takiego młyna tak prędko by nie postawił, bo kolej potrzebować będzie robotników, a i gotówki by mu brakło, a młyn jest bardzo nisko zaasekurowany. Osiadłby więc na mieliźnie, a tymczasem nasz młyn przez nową kolej pozawiażywałby stosunki i znacznie poprawił nasze interesy. Młyn trzeba było spalić — młyn koniecznie...

Mówił te słowa w takim rozdrażnieniu, jakby w istocie miał przed sobą podpalacza i wyrzucał mu jego niezręczność. Można się nawet było domyślić, że go zna — tak się przynajmniej zdawało z jego zachowania — pożar nie zadziwił go, jakby był na to przygotowany: tylko to, że się fabryki paliły, a nie młyn, było dla niego niespodzianką, która go rozniewała.

Rodzina żydowska czas jakiś stała przed domem, przypatrując się pożarowi jak sztucznym ogniom i prowadziła rozmowę, która wnet odbiegła od tematu, jakim się rozpoczęła, a przeszła na inne tory. Młoda Goldfingerowa opowiadała o iluminacji Wiednia, o nowej operze, do której ją mąż już zaprowadził, o swoim letnim mieszkaniu w Döblingu, i wśród rozmowy wrócili do alkierza i całkiem zapomnieli o pożarze. Tylko Abraham nie dotrzymywał im towarzystwa. Co chwila wstawał niespokojny i wychodził przed dom — patrzył i nadśłuchiwał — zdawał się czekać na kogoś czy na coś. Może czekał na powiększenie pożaru i niekontent był, że płomienie szalały w jednym tylko miejscu, stał zapatrzony w ogień, po ruchliwych oczach widać było, że głowa jego pracowała w tej chwili, a palcami konwulsyjnie przebiegał po brodzie i zakręcał je

w małe węzółki. Naraz drgnął — jakiś szelest w krzakach leszczynowych obok karczmy przestraszył go — zwrócił się w tamtą stronę i spytał:

— Kto tam?

— To ja, ja Abramku — odezwał się jakiś ochrypty, zaschły głos i równocześnie z zarośli ukazał się barczysty chłop w podartej siermiędze, bosi i bez czapki.

Zbliżał się do Żyda, który cofał się przed nim, i oglądał się niespokojnie wokół, jakby się obawiał, by ktoś nie zobaczył go w towarzystwie przybyłego obdartusa.

— A ty po co tu przyszedł, hę? Nie możesz sobie pójść do swojego domu? Czy to nie masz domu, hę?

— W domu szukali mnie żandarmi. Skryjcie mnie gdzie...

— Za co ja mam ciebie skryć? Bo to ty mój brat albo swat?

— Przecie wy sami namawiali mnie nieraz do tego...

Żyd aż podskoczył ze złości na te słowa — podbiegł do chłopca z rozpostartymi i trzęsącymi się rękami, oczami roziskrzonymi, jakby go chciał rozszarpać i syczał cichym, ale dosadnym głosem:

— Co, ty gałgan, ty pijak, ty pijak, ty śmiesz mówić, że ja ciebie namawiał? Czy myślisz, że ci to co pomoże w sądzie, że ci uwierzą? Ja cię namawiał? Kiedy ja cię namawiał?

— No, nie mówiliście dokumentnie: idź, podpal, ale przypomnijcie sobie Abramku, jakeście nieraz mówili, ej, żeby tak się znalazł kto, co by tego pana z Zagajowa z dymem puścił, to by mu się dopiero przysłużył.

— Mówić wolno, co się komu podoba. Ja mogę mówić, że chciałbym mieć kawałek księżycy, to mi go dasz, ty głupi chłopie, hę?

— Ja też nie wpieram w was, żebyście mnie namawiać mieli, ja sam miałem złość na niego. Ale sobie myślałem, Abramko będzie także kontent z tego, bo i on go nie lubi. A wy mnie jak psa odpędzacie.

— Bo ja nie chcę, żeby cię tu widzieli. Na co mnie tego kłopotu? Nie mogłeś ty iść prosto do domu, a nie włóczyć się. Pies byłby o tym nie wiedział!

— Ja też chciałem tak zrobić, ale ludzi moc wyległa na drodze, byliby mnie zobaczyli i domyślili się skąd wracam. Chciałem więc obejść lasem i z tyłu wejść do mego domu. Ale zanim obszedłem na około i zdołałem dojść do chaty, żandarmi już byli u mnie. Zobaczyłem z daleka ich bagnety tyskające się w cieniu i uciekłem tu.

Postąpił bliżej do Żyda uspokojonego już nieco i odezwał się błagalnym głosem:

— Zlitujcie się Abramku, ratujcie mnie, nie dajcie, żebym zgnął w kryminale.

— I cóż ja mogę dla ciebie głupi chłopie zrobić? Przecież nie mogę powiedzieć, że to ja podpaliłem, aby ciebie tylko uratować.

— Ja też tego nie żądam od was. Tylko ukryjcie mnie gdzie na kilka dni.

— I cóż ci z tego przyjdzie? Za kilka dni wyjdiesz i złapią cię i jeszcze będzie gorzej.

— Oj, dolaż moja, dola.

— I na co ci było takie głupstwo robić hę?

— Złość na nic nie pyta — mruknął chłop ponuro.

— I co ci z tego przyszło, hę? Czy ty myślisz, że ty jemu co złego zrobieś. On sobie tego życzył, żeby go kto spalił. Gdybyś ty tego nie był zrobił, to by on sam był zrobił. Spaliło się, to mu zapłacą — i jeszcze więcej, niż to było warte. No widzisz głupi Szymek, coś ty zrobił.

Chłop patrzył na niego głupkowatym, zagapionym wzrokiem. Nie mogło mu się to jakoś pomieścić w głowie, że kogoś można spalić i tym mu zrobić przysługę. On chciał zemścić się, a tymczasem dowiedział się, że zrobił tylko przysługę człowiekowi, którego nienawidził jak nikogo na świecie. Nic więc dziwnego, że ta wiadomość ogłuszyła go i pomieszała mu wszystko w głowie. Wściekłość go ogarnęła, gdy sobie pomyślał, że on może zgnąć za to w kryminale i nawet nie zaszkodził dziedzicowi. Oczy jego błysnęły białkami, a pięści zacisnęły się, że aż żyły jak powrozy wystąpiły na odkrytych rękach. Zgrzytnął zębami i zamruczał:

— A bodaj jego choroba tłukła od nieba do ziemi za naszą krzywdę. Tu nawet zemścić się nie można.

— Jak mu będziesz palił takie graty jak ta fabryka, to mu pewnie nie dokuczysz. Żeby mu się był spalił młyn, to by on się kręcił i kurczył.

— Młyn, powiadacie? — spytał chłop ponuro.

— Ja nic nie mówię, ja tylko mówię, coś ty głupi chłop i bez potrzeby wpakowałeś się w biedę.

— I cóż ja teraz biedny pocznę. Radźcie Abramku wyście mądry człowiek.

— Radzić, radzić. Teraz to ty potrzebujesz mojej rady, a jak mnie trzeba było dach pobić, to ja ciebie uprosić nie mogłem, pamiętasz?

— Toż wam potem pobiłem.

— Jakem ci dwa razy tyle zapłacił.

— Będę wam za darmo robić, jak wam będzie trzeba, tylko mnie ratujcie, powiedzcie, co robić i gdzie się obrócić.

— A czyś ty mnie co za darmo zrobił? A kto wam dawał pieniądze na proces, na stemple.

— Tożmy wam dali zapis na grunt. Jak wygramy, to sobie z procentem odbierzecie.

— A jak nie wygracie?...

— To wam odrobień, tylko mnie teraz ratujcie. Powiedźcie, co robić?

Żyd nie zważał na jego słowa i mówił dalej, zapalając się:

— A jak ja chciałem, żeby twoja córka poszła do mnie na służbę, toś powiedział, że ty nie pozwolisz, żeby twoje dziecko Żydom usługiwało. A co to Żyd, pies, he? Czy on nie taki człowiek jak drugi? Czy on nie płaci, nie daje jeść lepiej od katolika?

— Tylko mnie wykręćcie od kryminału, to i ja, i córka odsłużymy wam.

— Tak dziś mówisz, bo z tobą strach, a potem, jak strach minie, to mnie znać nie będziesz.

— Jak mi Boga przy skonaniu potrzeba, tak nie — zaklął się chłop. — Przekonacie się, że Szymon nie kłamie. Tylko mnie ratujcie. Powiedzcie, gdzie uciec. Może by na Węgry iść, tylko że nie mam o czym.

— Czy myślisz, że tam nie ma policji, że cię tam nie złapią.

— Więc przyjdzie człowiekowi marnie zginąć — rzekł chłop zrozpaczony spuszczać głowę na piersi.

Żyd tymczasem skubał brodę i myślał. Potem zapytał:

— Czy ciebie nikt nie widział potem?

— Nikt.

— A córka nie wygadała co przed żandarmami?

— Ona nic nie powiedziała, ja ją znam.

— A gdzie byłeś przed tym, nim tam poszedłeś?

— Tu u was w karczmie.

— Nie widziałem cię.

— Byliście pod lasem z waszymi. Tylko stara Magda była za szynkwasem.

— I piłeś co?

— Parę półkwadrantów dla nabrania odwagi.

Żyd znowu pomyślał — potem zbliżył się do okna i zajrzał w głąb szynkowni. Mała zakopcona lampka kamfinowa paliła się przy szynkwasie, a stara Magda drzemała.

— Idź cicho — rzekł, zwracając się do chłopca — wejdź do izby, połóż się pod ławę i udawaj jakbyś od dawna leżał. Potrzeba w tę starą babę wmówić, żeś ty od południa z karczmy nie wychodził. To nie będzie trudno, bo baba śpi w najlepsze, a niedowidzi i mało wie, co się koło niej dzieje. Jak żandarmi przyjdą i znajdą cię, to ona będzie świadczyć, żeś tu był cały czas. Choćby cię wzięto, to nic ci nie udowodnią, potrzymają jakiś czas, a potem puszcza.

Chłop chciał iść ku karczmie, Habe go zatrzymał.

— Czekaj, dam ci pierwszej trochę wódki. Będzie ci łatwiej udawać pijanego.

Poszedł do szynkowni, wziął cicho znad głowy śpiącej Magdy z szafeczki flaszkę wódki i wyniósł ją na pole.

— Na, masz, to pójdzie na rachunek — pamiętaj.

Szymon pociągnął, co się dało, powtórzył raz drugi, chciał i trzeci, ale go Habe zatrzymał:

— Dostyć ty pijaku. Trzeba, żebyś tylko udawał pijanego, ale nim nie był, bo mógłbyś z czym niepotrzebnie się wygadać. A gdzie ty czapkę podział?

Chłop chwycił się za głowę. Teraz dopiero spostrzegł, że ją zgubił.

— Widzisz — mówił Abraham — a nuż znajdą tam twoją czapkę i poznają?

— A bo to jedna taka czapka.

— Więc nie poznają? To dobrze. Czekaj, zdaje mi się, że tu mam jakąś czapkę, zaraz ci wyniosę.

Za chwilę wyniósł mu czapkę z komory. Wtedy chłop ostrożnie na palcach wsunął się do szynkowni, ułożył się pod ławę tuż koło szynkwasu i począł chrapać. Niezadługo za nim wszedł Habe — postawił odkorkowaną flaszkę na szynkwasie obok śpiącej Magdy i odezwał się głośno:

— Hej, Magda, Magda.

Baba zerwała się przestraszona, nieprzytomna zaspana.

— Kto tu wypił tyle wódki? Czy tu był kto?

— A któżby tu był? Nikogo jakim żywa nie widziała.

W tej chwili głośne chrapanie Łasia słyszeć się dało spod ławy.

— Wszelki duch pana Boga chwali — zawołała, zrywając się jak oparzona i z przestachem spojrzała pod ławę.

— Kto tu śpi? — spytał Abraham nachylając się ze światłem do leżącego i bełkoczącego coś przez sen Szymona.

— Chryste panie, a dyć to ten obieżyświat Szymon. Ja myślałam, co on już dawno poszedł, a on sobie w najlepsze tu leży. O! przysięgłabym na nie wiedzieć co, że to jego sprawka. O cygańska duszo bodajesz z piekła nie wyszedł...

— Czy on tu dawno tak leży? — spytał Żyd surowo.

— A kto go wie? Ta już ciż pewnie, że dawno, kiedy psiawiara miał czas na to. Ano czychał gdzieś w kącie, jak szatan na katolicką duszę, bo ledwie com się zdrzemnęła.

— Ha, to będziesz płacić za wódkę, ja nie mogę być stratnym.

Baba zaczęła zawodzić, lamentować, tłumaczyć się, że ona temu nie winna. Żyd milczał uparcie i dał się jej wygadać.

— Gdybym wiedział pewno, że to on — odezwał się po jakimś czasie — no to by on musiał zapłacić. Ale jeżeli go tutaj nie było.

— O! był, był.

— Mogłabyś przysięgnąć na to, że on był ciągle? — spytał żywo.

— Pewnie, że mogłabym.

— A, jeżeli tak, to on zapłaci.

Nietrudno się domyślić, jaki był cel tych pytań Habego, chciał wmówić w zaspaną babę, że Szymon Łas nie opuścił od południa karczmy. Takie alibi zaprzysiężone przez świadków stanowić mogło silną obronę posądzonego.

Wtem w sieniach dały się słyszeć kroki. Habe był na to przygotowany, co chwila spodziewał się żandarmów. Można bowiem było przypuszczać, że nie zastawszy Łasia w domu, przyjdą go tu szukać. Dla pijaków i włóczęgów karczma jest drugim domem; a często jedynym domem. Habe był pewny, że to oni idą. Tymczasem zamiast żandarmów wszedł do izby służący Radoszewskiego wysłany przez ekonoma. Habe nie bardzo rad był temu spóźnionemu posłańcowi, nie myślał wcale zaspokajać dłużej żądań dworskich i odmówił; ale odmówił po swojemu, kłął się na sumienie, że nie ma już ani kropelki takiego wina, które by mógł dać na stół pański, że ostatnią beczkę zabrał w zeszłą niedzielę proboszcz z Łopuchowej na odpust i

był mocno zafrasowany, że tak dobremu panu w takiej bagateli usłużyć nie może, poczęstował przybyłego półkwatkiem wódki, kazał ślicznie pokłonić się wielmożnemu panu, przeprosić i oświadczyć, że on sam jutro będzie we dworze.

Jak wiemy, ekonom nie zadowolił się tą odpowiedzią Habego, nie mógł się zadowolić, jeżeli nie chciał skompromitować pana swego, który znowu nie chciał rozumieć, co to jest brak. Z praktyki ekonom wiedział, co znaczy podobna odmowa Habego, to jest, że trzeba będzie podwójnie drogo zapłacić za jego grzeczność — i dlatego pojechał sam do niego. Zastał go o wiele twardszym, niż myślał — Żyd przysięgał się na wszystko, że nie ma, a choć ekonom powiększał procent — Habe stał przy swoim. W końcu, po długich prośbach, zdecydował się dać kilka garnców wina, które, jak utrzymywał, już nie było jego własnością, bo było sprzedane. Habe więc popełniał, jak mówił, rodzaj kradzieży i zaręczał, że tego dla nikogo by nie zrobił, tylko dla pana Radoszewskiego. Rozumie się, że za to przestąpienie siódmego przykazania, i to zaraz po szabasie, uczynny Habe kazał sobie dobrze zapłacić — kwitkami. Była to jedyna moneta, jaką od jakiegoś czasu posługiwał się dwór w Lipczynach. Był to rodzaj banknotów, które tylko bank Habego akceptował i wypłacał. Toteż czeladź, dzienni najemnicy i rzemieślnicy szli zawsze do Habego realizować te papiery. Ile on zarabiał na tym, nietrudno się domyślić — a tymczasem kwitki rosły w ogromne stosy... Habe dołączył i te ostatnie teraz. Potem ekonom poczęstował esencją ponczową z arakiem i pogadał z nim trochę o ciężkich czasach. Habe bowiem miał zasadę nie zrażania sobie nikogo, a ujmowania wszystkich. Toteż i ekonom, lubo z początku rozgniewany był trochę odmową Habego, odjeżdżał od niego już udobruchany, a choć owsa nie dostał, to przynajmniej rad był, że mu się udało wydostać wino. Miał czym zalać gardła ludziom, by nie mówili źle o gościnności pana Radoszewskiego. Z końmi będzie łatwiejsza sprawa — myślał sobie ekonom — nie umieją gadać, to nie powiedzą. Wracił do domu z tym przekonaniem, że Habe, skąpe i twarde Żydzisko, ale pocziwe, i w duszy nie dziwił mu się wcale, że nie chce kredytować tym, co mu nie płacą.

W drodze spotkał żandarmów, którzy zmierzali prosto do karczmy — na obławę. Zdaje się, że ostrożności Habego nie skutkowały, a przynajmniej żandarmów nie przekonały o niewinności Łasia, bo go na drugi dzień prowadzono związanego do powiatowego miasteczka. Cyganka, dowiedziawszy się o tym, z krzykiem i płaczem przybiegła do Habego. Habe rozmówił się z nią bez świadków i musiał jej coś bardzo pocieszającego powiedzieć, bo wracała do domu całkiem uspokojona.

[...]